

Zasady zdrowego żywienia

Tak, tak - pomyślałem: człowiek podobnie jak powierzchnia ziemi zawiera około siedemdziesiąt procent wody, przez co przyjmowanie płynów jest czynnością niezbędną. Dwa litry dziennie zdecydowanie zapobiegają odwodnieniu, a odwodnienie to rzecz niebłaha. Najwyraźniej pan X oraz grubawy pan Wiesio zaznajomieni byli z nie każdemu znanymi zasadami zdrowego odżywiania się

Obudzić się w takim właśnie miejscu, pozwalając oczom, aby pohasały sobie po lekko zachmurzonym niebie, zaczepliły się swobodnie o gładkie grzbiety ptaków i pozwoliły się przez nie wynieść wysoko w chmury, gdzie niewidoczne dla mnie, a oczywiście dla nich silne prądy powietrza tyranizują przestrzeń, dając nam - istotom naziemnym - złudne uczucie spokoju zamkniętego w tym pozornym bezruchu. Obudzić się na tej smolisto-czarnej, tłustej glebie, w każdym centymetrze obficie wypełnionej najróżniejszymi formami dopiero co powstającego oraz przekwitającego już życia, którego głównym i chyba jedynym celem jest możliwie jak najdłuższe przetrwanie w

symbiozie z otaczającym je światem lub też bez owej fenomenalnej zależności... nieważne, byle tylko do przodu. Przypominało mi to budzące się właśnie ze snu delikatnie kreślące w nasiąkniętym mżawką powietrzu kontury pobliskiego miasta, które zapewne, gdyby oglądać je z grzbietu jednego z krążących nade mną ptaków, okazałoby się osadzone pośrodku owej smakowitej gleby jak tandetny jarmarczny obraz w fikuśnej barokowej ramie.

Na liściach niewielkiego drzewa, pod którym zasnąłem i którego korzeni użyłem jako nadzwyczaj niewygodnej poduszki, mżawka zaczęła łączyć się w krople, a krople w strumyczki spływające środkową krawędzią liścia wprost na mnie. Było ciepło. Usadawiłem się wygodnie pod drzewem, nie przejmując się przemoczonymi ciuchami. Coś uwierało mnie w przedniej kieszeni dżinsów. Powoli wsunąłem do niej rękę i wyciągnąłem niedbale włożony portfel. O cholera, wygląda na to, że wydałem wczoraj sporo kasy, poza tym dokumenty były w porządku i do tego jakimś cudem były suche. Posiedzę jeszcze trochę i popatrzę na deszcz. Piękno owej chwili pozwoliło zapomnieć czającą się gdzieś w zanadru obolałą czaszkę myśl o nieuniknionej wizycie w banku. Chodziłem tam jeszcze nie tak dawno z rodzicami.

Fot. J. Marzętnik

Zdzisław Opałko, Częstochowa

ROK 2018

*jeszcze niedawno tu nad Wisłą
choć na krótko miałem nową
potężną ojczyznę - Europę wolną
zrodzoną z pragnienia pokoju i ładu
z mądrości narodów zjednoczoną
w jeden organizm wspólnotę
braterską obywatelską spontaniczną
nie szowinistyczną*

*w której wszyscy i każdy z osobna
mógł czuć się ważny szanowany
do tworzenia i rozumienia dobra wspólnego
szeroko pojętego cierpliwie nakłaniany
od religijnych fobii oddalony poukładany
fundamentem praw godnych istoty ludzkiej
przez niezawisłe sądy chroniony
na rozległym terytorium
pod niebieskim sztandarem z gwiazdami*

*teraz mam znowu ojczyznę starą
zacierzwioną nerwowo spiętą
między Bałtykiem a Tatrami przycupniętą
o tępych sekciarskim obliczu
pławiącą się z lubością w politycznym kiczu
nie potrafiącą mądrze dogadać się z nikim
do krwawych bojów zaprawianą
patriotyzmem dzikim
z katolicyzmem ponurym wojującym
jak trująca winorośl po duszach się pnącym
smętną zaściankową ksenofobiczną kibolską
obsesyjnie narodową
pamiętliwej zapiekłości sensu pozbawioną
ojczyznę jaśnie partyjną
pod flagą białoczerwoną*



Bez troski, radosny stan umysłu zamienił się nagle w smutek, straszliwe szarpanie w sercu. Deszcz, z miękkiego przyjaznego prysznica, przeistoczył się w płacz, w żałosną pieśń o dwóch istotach kiedyś tam na niedługą chwilę odwiedzających tę dziwną planetę, pieśń o tym, jak się odnalazły, zauroczyły, zakochały, jak dały początek nowemu życiu, o które przepięknie dbały i chroniły od zła; jak czas niszczący kamienie i serca ludzkie nie odjął nawet najmniejszej znanej nam miary od ich miłości; pieśń o ich nagłym zejściu tego przekłętego dnia, kiedy to podczas podobnego jak dzisiaj poranka ciągle się śmiali, pełni życia, a późnym popołudniem już ich nie było; o tym, jak przyniesiono chłopcu wiadomość, że to, co było, już nie powróci i że on, ten młody chłopiec nie zgodził się, aby zapomnieć; pieśń o tym, jak chłopiec podrośł i zagubił się na tej drodze, o tym, jak siedzi teraz pod drzewem i nie wie, czy to deszcz, czy łzy spływają mu po lekko napuchniętej twarzy. Trzeba się wziąć do kupy, nie pozwolić na ten spacer na krawędzi czarnej dziury, bo gdy już wchłonie człowieka, nie można się z niej wygramolić.

Bolesny żal, czyli szarpanie w sercu można czasami przezwyciężyć, można oszukać siebie samego mózgiem-pasożytem. On wyciąga z mojego organizmu najlepsze soki, żyje sobie jak pączek w maśle, ja natomiast zbieram pozostałe resztki oraz cały ból, gdyż mózg nie posiada własnych nerwów, on jedynie zarządza moimi, co daje mu nade mną olbrzymią przewagę; jestem po prostu najzwyklejszą marionetką, której setki cienkich, prawie że niewidocznych sznurków pociągają hormony, enzymy, witaminy, minerały, tłuszcze, węglowodany, proteiny oraz kilka innych substancji, którymi zarządza właśnie on. Wybaczam mu więc to, że okrada mnie z najlepszych substancji, on z wdzięczności lub też z najnormalniejszego pospolitego strachu wybawia mnie logiczną analizą sytuacji z wszelkiego rodzaju bólów egzystencjonalnych, jak i czarnych dziur.

Wstałem, otrząpiałem ubranie z przyczepionej do niego trawy, i ruszyłem w stronę miasta. Rozkopany, popękany chodnik ciągnął się wzdłuż najruchliwszej, a przez to najbardziej hałaśliwej ulicy, która niejednego delikwenta z rozstrojeniem nerwowym, niedoborem magnezu lub też po prostu czułym słuchem, doprowadzała do wrzenia. Zabawny jest fakt (równie dobrze można powiedzieć: okrutny jest fakt), że obok najgłośniejszej ulicy, gdzie dwie dodatkowe jezdnie łączyły się w skrzyżowanie, usytuowana została szkoła muzyczna z wybudowanym obok parkiem w stylu orientalnym. Ogród wybudowano w szesnaście dni. Zakończono go postawieniem przysłowiowej kropki nad i, czyli wybudowaniem małej stylowej muszli koncertowej z uprzednio przygotowanych elementów w celu szybkiego montażu. W sobotę zadowolony z siebie projektant uścisnął rękę dyrektora szkoły, zainkasował kopertę z zawartą w niej sporą gotówką niewiadomego pochodzenia, jak głosi plotka, była to pomoc od zamożnych rodziców mało utalentowanych uczniów, i odjechał, pozostawiając po sobie jedynie butelki po wykwinnych likierach.

W poniedziałek odbyło się oficjalne otwarcie nowego przybytku. Przypadek lub też celowe destrukcyjne działanie sił ciemności unoszących się od wieków nad miastem sprawiło, że w tym samym czasie otwarto pobliskie, świeżo wyremontowane skrzyżowanie. Samochody zdawały się być niezmiernie szczęśliwe z powodu odzyskania ulubionego kawałka asfaltu. Rozdrażnione długim uwięzieniem decybele w końcu mogły od nowa poszumieć. Łatwo sobie wyobrazić takie otwarcie, gdzie muszla koncertowa, zamiast nagłaśniać instrumenty, idealnie nagłaśnia hałas z naprzeciwnika.

W tym momencie przypomina mi się historia Jasia, absolwenta szkoły muzycznej. Otóż młody Jasio był jednym z wielu wybitnie nieutalentowanych uczniów. Nie był obdarzony ani wiedzą, ani mądrością, ani też specjalnie wyróżniającą

się inteligencją. Nie mówię, że był głupi, stwierdzam jedynie, że zdecydowanie nie był błyskotliwym przedstawicielem swojej płci. Natura jednak, aby wyrównać nieprawidłowy balans, obdarzyła go niesamowitym uporem. Każdego wieczoru oddawał się bezmyślnym wędrówkom pilotem po kilkuset kanałach, będącym jego jedyną pasją. Przeciętą fascynacją programem trwała około 20 sekund, co po przebiegnięciu wszystkich, dawało ponad godzinę rozrywki tak intensywnie przeładowanej danymi, że biedaczek zasypiał z przemęczenia. Pewnej pamiętnej nocy zmęczone od ciągłego przełączania programów palce odmówiły posłuszeństwa. Na ekranie pojawił się napis „Clint Eastwood”, co przyciągnęło uwagę Jasia i zachęciło do dalszego oglądania filmu pod tytułem „Bird” - westernu, jak się spodziewał. Po godzinie oglądania, co zresztą było absolutnym rekordem, zorientował się, że skoro do tej pory nie ma strzelania, to chyba już nie będzie. Nieważne, w końcu zrozumiał lub też zostało mu objawione, nie o to chodziło. Muzyka: tak, to było to. Chociaż od początku spragnionym wzrokiem wyszukiwał nieobecnej według niego akcji, coś go intrygowało, coś nie pozwalało przełączyć pomimo dawno wypoczętych palców. Muzyka: tak, to było to, czego poszukiwał. Przedtem, to znaczy godzinę temu, nawet nie wiedział, że czeokolwiek poszukiwał. Teraz już wiedział, był pewien swego powołania, przepadł dla jazzu. Postanowił, jak Charlie Parker, zostać wielkim pianistą, gdyż tak właśnie wywnioskował z filmu. Od owego pamiętnego momentu Jasio zmienił się nie do poznania. Zaczął słuchać jazzu, zmienił styl rozmowy, co zaowocowało niewielkim, aczkolwiek widocznym, wzrostem inteligencji; po kryjomu szeptał coś do siebie, chodził wolniej i dostojniej, trzymając za sobą dłonie złożone w tajemniczym splocie.

Rodzice Jasia byli na owe miasto przyzwoitym, średnio zamożnym małżeństwem. Dorobili się minifortuny, składając z części sprowadzonych nie wiadomo skąd niskiej jakości kasety magnetofonowe o równie niskiej cenie, co było ich największym atrybutem. Zbigniew i Zofia Zupa, gdyż tak się nazywali, jak większość ssaków nienagannie dbali o swoje potomstwo: myli, karmili, w ciężkich chwilach dodawali otuchy, a nawet śpiewali do snu przekazywane z pokolenia na pokolenie lub zastyszane w radiu piosenki. Nie dziwny więc był fakt, że martwiono się o jedyne dziecko, jedynego spadkobiercę minifortuny, który nie przejawiał zainteresowania niczym prócz telewizji, nie wspominając już nawet o sprawach tak skomplikowanych jak produkcja niskiej jakości kaset magnetofonowych. Łatwo sobie wyobrazić, jak bardzo uradowali się zrozpaczeni rodzice z nagłej zmiany w życiu jedynaka. W domu Zupów pojawił się wysokiej klasy sprzęt muzyczny, stare pianino oraz wyrafinowana, obszerna kolekcja płyt jazzowych zakupionych od niejakiego Tadeusza P., byłego muzyka, który to stopniowo wpędzając się w nałóg komputerowy, sprzedał wszystkie starannie zgromadzone przez lata nagrania.

Całe kawiarniano-artystyczne towarzystwo, w którym obracał się teraz Jasio, nie zorientowało się, że on po prostu nie rozumiał poruszanych wśród nich przeważnie głębokich, egzystencjonalnych tematów. Pośród owego kręgu pseudo przyjaciół zachowywał się według zastyszanej gdzieś wypowiedzi: „Lepiej milczeć i być uważanym za głupca, aniżeli raz się odezwać i rozwiać wszelkie wątpliwości”. Manipulował więc ciszą i do tego robił to wyjątkowo zręcznie, dlatego wcześniej celowo zaznaczone zostało, że Jasio nie był głupi.

Pewnego dnia nadzwyczaj poważnym, przemyślanym głosem opowiedział ojcu o drzemającej w nim nieodpartej ochocie poznania sekretu produkcji niskiej jakości kaset magnetofonowych. Przez cały tydzień ćwiczył przed lustrem starannie wyuczoną kwestię: „Ojczy, uważam, że nadszedł czas, abym poznał chroniony przez ciebie i mamę sekret produkcji niskiej jakości kaset magnetofonowych. Sądzę, iż jestem gotów

ciąg dalszy na str. 12

Opowieść o ziemi i żegnaniu się z dzieciństwem



Fot. J. Maziejuk

Wioletta Grzegorzewska w swoich „Gugulach” wspinała się na drzewo, by rwać owe tytułowe niedojrzałe owoce. „Skoruń” Macieja Płazy to opowieść o chłopcu, który także spędzał dużo czasu w sadzie. Owoce jednak musiały być dojrzałe, bo rwało się je na sprzedaż. Głównie jabłka. Mała Wioletka wspinała się na czereśnię, a blisko skoruniowej nadwisiańskiej wioski też taka rosła, tyle że dzika: „niedaleko skarpy wprost z płaskiej łąki wzbijało się drzewo: piękna trześnia, potężna jak dzwonnica, ostatnia resztecinka tej zniszczonej wioski.

„Skoruń” Macieja Płazy to, jak to ładnie określono, „siudem opowieści o ziemi, rzęce i robocie, o tęsknocie za nieznanym, o radosnym i lęklwym żegnaniu się z dzieciństwem i o olśnieniach, jakie przynosi inicjacja”



W maju chłopaki z miasta obsiadali ją jak szpaki i objadali z owoców”. Ta trześnia była świadkiem pierwszych doświadczeń seksualnych bohatera, gdy już powoli zaczął wyrastać z wieku, w którym matka wiecznie wołała za nim „ty skoruniu”, co znaczyło „nicponiu, ladaco”. Skoruń jednak na długo przyłgnął do chłopca, bo nawet w ostatniej w powieści rozmowie z matką, gdy mówił do niej już zbuntowany młodzieniec, odpowiedzią było „Nie zygaj, skoruniu, nie bluźnij!”.

Życie skorunia przebiegało między domem, gdzie pobożna, bojaźliwa i pomocna wszystkim matka kręciła się między kuchnią, kurnikiem i warzywniakiem, a warsztatem, polem i sadem, gdzie pomagał prędkiemu, skoremu do gniewu ojcu. Jak mówi, „wszystkie te ojcowe prace były dla mnie groźne i wspaniałe. Matczyne owoce i kwiaty miały w sobie kolor, miękkość, smak lata, ale w spichrzach, garażach, maszynach, betonie, przemysłowym sadzie drzewa miały moc, jakby siłą wydartą z ziemi, słońca i powietrza”. Ojciec bowiem wrócił na rodzinną gospodarę po studiach. Kilka dni w tygodniu uczył w szkole w pobliskim miasteczku, a całe wakacje i wszystkie dni wolne od pracy, a także popołudnia, spędzał w warsztacie, polu albo sadzie. Wymyślał i budował maszyny - a to do wrywania pniaków z korzeniami, a to do podnoszenia ciężkich skrzynek. Pole i sady ojcowe były „równiutki, wystrzyżone, odmierzone, zważone, policzone, wyprodukowane mozolną pracą, nawozem, opryskiem, inżynierską wiedzą”. Podwórko wybetonowane, a wokół przechowałnie jabłek. Jabłkami bowiem głównie zajmował się ojciec, w sadzie większość drzew to jabłonie, a na polu oprócz ziemniaków przeważnie pomidory i kalafiory. Okoliczni gospodarze też zrezygnowali z uprawy zbóż, bo ziemia żyzna, tłusta, za dobra na żyto. Znakiem takiej ziemi jest właśnie trześnia, bo tam, gdzie ona rośnie, można mieć pewność, że gleba jest bardzo dobra.

Matka wołała, że syn skoruniu, ale ojciec już dbał, żeby chłopak się nie lenił: „a co do mojego lenistwa, to ojciec właściwie sam nie może się zdecydować, do czego bardziej

chciałby mnie gonić: do książek czy do roboty. Do roboty właściwie gonić mnie nie musi, nie uciekam od niej zbytnio, bo po co? Robota sama każdego znajdzie”. Robót nie brakuje, „zawsze ich tysiąc, na każdą potrzebę: cięliśmy gałęzie w sadzie, kosiliśmy lub przyskaliśmy trawę, wbijaliśmy lub wyciągaliśmy paliki, przyskaliśmy chwasty, sypaliśmy nawóz, przywiązywaliśmy pomidory”. Latem nie można było nastarczyć czasu, bo i zrywanie tych pomidorów, układanie w skrzynki, targanie ich; wycinanie kalafiorów, obrywanie ogórków, a jeszcze morele i wczesne śliwki w sadzie. A „śliwki nie były jedyne ani pierwsze w letnim korowodzie”, bo pod koniec maja zaczynały dojrzewać truskawki, potem czereśnie, wiśnie, maliny, porzeczki... A potem już „czekało się na jabłka”.

Zanim jednak o jabłkach, trzeba opowiedzieć o matczynym jedzeniu. Jak smażyła jajecznicę, stawiała patelnię na gazecie na środku stołu, kroić grube pajdy chleba. Ojciec rozdzielał tę jajecznicę na talerze. Matka zwykle nie siadała przy stole, „stała oparta o kredens, z talerzem w ręku”. Tak jak gospodynie, baczące, czy komu nie dokończyć, by wszyscy się najedli. A potrafiła matka nakarmić. Skoruniowi najbardziej smakowało lipcowe jedzenie: „gotowana kapusta, grubo krojona, mięciutka, doprawiona zasmażką i przecierem ze świeżych pomidorów, knedle ze śliwkami, pulchne, oblane smażonym masłem i obsypane cukrem, kluski z truskawkami, pulchniutkie, drożdżowe, z leciutko odcisniętym ścięciem ścierki, na której się parowały”.

Jabłoniowy sad to niekończąca się robota. Sadzenie, wycinanie uschniętych drzew i wrywanie pni, dosadzanie. Opryskiwanie, przycinanie gałęzi, usuwanie „wilków”. Szczepienie, akurat melrose na antonówce, a najlepszy w tym jest Józef, mający „tyle cierpliwości, a może też wiedzy i zakłęb, które mamrocze przy swojej szczepicielskiej robocie”. Zrywanie latem papierówek, a od września już siwawoczerwonych mekintoszów i lobo, przeznaczonych od razu na sprzedaż. Potem landsberskie, „wielkie jak bycze serce i żółte żółtością słońca”. Malinówki ojciec a wszystkie wyciął, były stare, wyrodzone, ale jedną zostawił: „To najstarsza jabłoń w naszym sadzie, ma prawie pięćdziesiąt lat. Jest kostropata, rozłożysta, gruba jak dąb. Malinówki (nigdy ich nie sprzedajemy) smakują maliną i herbatą z miodem, mają w sobie łagodny ogień, jakby je wyjęto ze starego pieca. Zimą ojciec przynosi je w opałce i rozgrzewają nas tym swoim mięciuteńkim ogniem”. A zimą też jest roboty przy jabłkach. Aż do wczesnej wiosny trzeba je przygotowywać do sprzedaży. Przebierać, wtykać każde w kalibrownice, segregować, układać w skrzynie, targać te skrzynie. A w przechowalni panuje ziąb, i to wilgotny od wody stojącej w rowkach, bo jabłka lubią tę wilgoć, bez niej parcieją. Ręce na początku grabieją przy robocie, a jabłka trzeba układać delikatnie, żeby nie obić. To tak jak ze zrywaniem: „Jabłko trzeba chwycić delikatnie, z szacunkiem, jak jajko. Nie ścisnąć, tylko ująć, podtrzymać u dołu małym palcem, palec wskazujący oprzeć o ogonek i na tej dźwigięnce przechylić je jednym ruchem, tak by ogonek pękł, a jabłko bezpiecznie zostało w dłoni. Potem kładzie się je do skrzynki, a jeśli zrywa się z drabiny, to najpierw do koszyka, tak samo ostrożnie: nie wrzuca się, tylko układa, ogonkiem w górę albo w bok, by nie zranił sąsiednich owoców, nie przebił delikatnej skórki - bo jeśli przebiję, to w spichrzu do rany wkradnie się zdradliwa zgnilizna i poźre jabłko jak złodziej. Do zrywania trzeba dobrych rąk, przytomnych i troskliwych, ruchów miękkich, akuranych”. A gdy przy zrywaniu jabłek zaskoczy deszcz, można schronić się pod rosnącą w środku sadu olbrzymią, rozłożystą renetą landsberską z zaszczepioną na jednym konarze papierówką.

Nie tylko robotą wieś żyła. Dawniej, za czasów młodości ojca w pobliskim miasteczku działało kino, a nad rzekę jeździły cygańskie tabory, „krzykliwe, wesole i groźne”. Kino

od lat w remoncie, Cyganów zamknięto w barakach, więc z rozrywek zostały „dozynki, odpust na Wincentego, w lipcu wesole miasteczko, no i cyrki”. Co prawda, „to już nie był taki cyrk jak kiedyś, za młodu mojego ojca, gdy przyjeżdżał na przykład teatrzyk liliputów i potem te liliputy wylegiwały się na błoniach, spacerowały po mieście, przysiadły przed knajpą Słoninowej, a wierzbinieckie zapyziałcie omal nóg nie pogubiły, żeby je zobaczyć”, ale i tak była to atrakcja. Wioskowe chłopaki lubiły przesiadywać na skarpie patrzeć, jak „ciągniki i ciężarówki z przyczepami tarabanią się przez most lub szosą zza błoni”, jak obsługa rozstawia namioty, jak artyści znikają w budach i przysposabiają się do występów; czasem nawet dało się kogoś przyuważyć: „a to siłacza w podkoszulku, a to woltyżerkę w baletowej spódniczce, a to tresera karmiącego lwy”.

Tak to upływało życie chłopaka nicponia, ladaco, skorunia. A przecież była jeszcze historia z Hubertem, tajemnice ojca, niewyjaśniona do końca sprawa niegdysiejszej powodzi, Siekierska. Chłopak zaczął dorastać: „Różne pierwszozyny mam już dawno za sobą, ojca mniej się boję niż kiedyś, tężeję w mięśniach, przejaśnia mi się w głowie. Nad wsia już nie latają czarownice, oko starej studni straciło czarny blask, minął czas pasania krów i szukania zakopanych broni”. Minęło dzieciństwo z zapachem jabłek. A skąd się skoruń wzięł na tym świecie, na sandomierskiej ziemi, przywiślanej? „Ojciec nie wyobrażał sobie, by mieszkać gdzie indziej niż tu, w zakolu Wisły, na jabłkowych wzgórzach”. Żonę przywiózł do siebie. A poznał ją na jednej z leśnych stacji. „Z jedną walizką jechała do szkoły pielęgniarzkiej z internatem, on kończył studia mechaniczne i rolnicze, wysłano go tam na staż do pegieeru. Spotykali się potem na tej stacji, co parę tygodni, czekali na siebie godzinami, ojciec odprowadzał ją sześć kilometrów przez las, potem wracał te sześć kilometrów i drugie sześć szedł do siebie w przeciwnym kierunku. Po jakimś czasie, gdy urządził się w tym pegieerze, przyjeżdżał motorem, czarnym junakiem, z goglami na gołej głowie, lub terenowym Rumunem; ale nim się zmotoryzował, jednego razu przyjechał konno, wielkim pociągowym gniadoszem. Przywiązał go przed maleńkim dworcem jak kowboj przed knajpą, potem odwiózł matkę, bez siodła, na dwóch warstwach grubych derek, do domu. Ponoć wtedy jej się oświadczył. No i nie miałem już wyjścia, musiałem się urodzić, bo czy można odmówić takim oświadczeniom?”.

„Skoruń” Macieja Płazy to, jak to ładnie określono, „siedem opowieści o ziemi, rzecze i robocie, o tęsknocie za nieznanym, o radosnym i lęklwym żegnaniu się z dzieciństwem i o olśnieniach, jakie przynosi inicjacja”. Płaza, doktor humanistyki, jest autorem naukowych rozpraw, m.in. o Stanisławie Lemie. „Skoruń” ukazał się w roku 2015, a początek miał nieco wcześniej, gdy, jak autor mówi, „coś zaczęło do mnie gadać parę lat temu i domagało się zapisania. A gadało głównie o dzieciństwie, choć wcale nie o moim własnym. To coś raczej snuło opowieść, w której jednostkowe przypadki, zasłuchane historie i odłamki ludzkich losów mogłyby zyskać jakiś sens”. Maciej Płaza urodził się w Sandomierzu, nie jest więc ściśle chłopakiem ze wsi, „mój osobisty krajobraz był wiejsko-małomiasteczkowy”, ale, jak dalej pisze, „to właśnie żywioł wiejskiego gadania narzucił mi się jako najodpowiedniejszy język: jedyny, soczysty, zmysłowy, butny, tętniący, swobodny, dosadny i liryczny zarazem”. „Skoruń” jest debiutem powieściowym Płazy, a 42-letni autor przyznaje, że po latach oddalenia od rodzinnej ziemi nie tyle odnalazł tożsamość, co ta tożsamość odnalazła jego: „Krajobraz Sandomierszczyzny, pagórkowaty, poliniowany sadami, owinięty wokół Wisły, z żółtymi lessowymi wąwozami - jest wdrukowany w moją głowę, w pamięć, w wyobraźnię...”.

Jolanta Betkowska, Słupsk

Bard ludzkiej samotności



Jacek Kaczmarski bardzo długo walczył z nazywaniem go bardem Solidarności. W swoich wypowiedziach podkreślał, że jeżeli ludzie pojmują go jako kogoś, kto śpiewa o istot-

nych dla człowieka sprawach, przekazuje jakieś przesłanie, morał, a nie tylko daje rozrywkę, to przyznaje, że jest bardem, chociaż właściwszym byłoby nazywanie go bardem ludzkiej samotności



Przyszedł na świat 22 marca 1957 roku w Warszawie. Od urodzenia był naznaczony piętnem artysty. Jego ojciec, Janusz Kaczmarski był malarzem oraz recenzentem sztuki, a przez wiele lat - prezesem Zarządu Głównego Polskich Artystów Plastyków. Matka, Anna Trojanowska-Kaczmarska była malarzką, pedagogiem i historykiem sztuki. Jego rodzice z powodu obowiązków artystycznych, naukowych oraz społecznych,

nie byli w stanie zająć się synem, więc przekazali opiekę nad nim dziadkom - Felicji i Stanisławowi Trojanowskiemu. „Babcia zmuszała mnie do słuchania muzyki klasycznej, co jej się udawało i do gry na pianinie, co jej się nie udawało. Dziadek, który był pasjonatem geografem i politykiem, zdołał we mnie rozbudzić ciekawość świata” - mówił o swoich dziadkach Jacek Kaczmarski w wywiadach. Zamierzenia dziadków bardzo szybko zaczęły przynosić efekty - zainteresowania literaturą, muzyką i filmem wysuwały się u przyszłego pieśniarza na pierwszy plan, a potem znalazły ujście w jego własnej twórczości. Dużą jej część stanowi poezja oraz proza, chociaż kojarzony jest głównie z piosenką.

Ukończył renomowane Liceum Ogólnokształcące im. Narczy Zmichowskiej w Warszawie, a następnie polonistykę na Uniwersytecie Warszawskim. Pracę magisterską, pisaną pod kierunkiem prof. Zdzisława Libery, poświęcił Stanisławowi Augustowi Poniatowskiemu w poezji okolicznościowej jego epoki. Stąd też wiele utworów J. Kaczmarskiego poświęconych jest epoce oświecenia. Na równi ze zdobywaniem wykształcenia, przyszły polonista rozwijał karierę muzyczną.

Debiutował w 1975 roku na Jarmarku Piosenki w Warszawie. Wzorowana na utworach Wysockiego „Obława” w wykonaniu Kaczmarskiego w sposób szczególnie wpisała się w początek jego kariery. W 1979 roku otrzymał za nią nagrodę na Studenckim Festiwalu Piosenki w Krakowie. 13 grudnia 1981 roku, w dniu wprowadzenia w Polsce stanu wojennego, przebywał we Francji. Nie wrócił do Polski, utrzymywał się z granych koncertów, a część dochodów przeznaczał na wsparcie podziemnej Solidarności.

Nazywany jest często „bardem Solidarności”. Maciej Karpiński pisze m.in.: „Jest bardem. Jak bard przemienia rzeczywistość w poezję. Znajduje dla niej skrót, kondensację, by tak ją zakląć, utrwalić, przekazać. Od tej chwili nie będziemy w stanie przeczytać jego tekstów inaczej, patrzeć jego oczami, podążać jego skrótem, zaklinać jego formułą. Jak bard sam interpretuje swoje teksty, sam nadaje dźwiękom właściwe brzmienie, sam odmierza proporcję między słowem a milczeniem. Od tej chwili nie będziemy w stanie przeczytać jego tekstów inaczej niż tak, jak on nam każe, z jego kadencjami, podkreśleniami, pauzami. Jak bard dodaje do melodii swych słów dźwięki instrumentu. Od tej chwili będziemy słyszeli metalowe brzmienia strun dodane do akcentów, przycisków i przydechów. Tak odbieramy przecież piosenki bardów”. („Jacek Kaczmarski - aneks do wniosku o awans”, Puls 1993, nr 5/6.)

Ze wspomnianych opisów jednoznacznie wynika, że był bardem i jako bard stanowił autorytet moralny. Czas jego twórczości przypada na lata osiemdziesiąte, czyli okres rozrastania się w siłę Solidarności. Jego utwory, jak chociażby „Mury”, były odbierane jako mobilizacja do walki o prawdziwą wolność. Śpiewał: „wyrwij murom zęby krat, zerwij kajdany..”



Fot. K. Nowak / wikipedia.org

Bard w mentalności ludzi lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych ub. wieku to nie tylko poeta, ale przede wszystkim poeta-śpiewak, polityczny opozycjonista, propagator Solidarności. Często szufladkowano twórczość Kaczmarego, przypisując jej tylko historyczno-polityczny wydźwięk, pozbawiony jakichkolwiek wątków osobistych. Zaletą interpretacji współczesnych poetów jest możliwość „ustyszenia”, co autor miał na myśli. I tak też do interpretacji swojej poezji śpiewanej odnosił się „bard Solidarności”: „Ja tymczasem ciągle pisałem i śpiewałem, we wszystkich możliwych środowiskach i przy każdej okazji. Piosenki te były nagrywane, powielane, drukowane w rozmaitych piśmiennikach, ukazujących się niezależnie. Kiedy przyszła Solidarność, to nagle okazało się, że chociaż nie było mnie w radiu i w telewizji, wszyscy znają te utwory. No i właśnie w ten sposób zostałem bardem Solidarności. Nie tylko przez niewłaściwe odczytanie refrenu, ale poprzez tę działalność niewidoczną, nielegalną, prywatną. (...) Chciałbym, aby mnie postrzegano jako człowieka, który pisze, śpiewa, ale reprezentuje wyłącznie siebie. Kiedy przypisuje się mnie czy do mojego pokolenia, czy do epoki Solidarności, czy do mitologii narodowowyzwoleńczej, to fałszuję się moje piosenki” (o-historii.pl/jacek-kaczmarek-bard-solidarnosci/).

Jacek Kaczmarek bardzo długo walczył z nazywaniem go „bardem Solidarności”. W swoich wypowiedziach odkreślał, że jeżeli ludzie pojmują go jako kogoś, kto śpiewa o istotnych dla człowieka sprawach, przekazuje jakieś przesłanie, morał, a nie tylko daje rozrywkę, to przyznaje, że jest bardem, chociaż właściwszym byłoby nazwanie go „bardem ludzkiej samotności”. Jego dorobek literacki i życiowy jest bogaty, mimo że żył krótko, zaledwie 47 lat. W marcu 2004 roku uhonorowano go Fryderykiem za całokształt twórczości, ale nie był już w stanie odebrać tej nagrody. Zmarł kilka tygodni później, 10 kwietnia na raka przetyku. Wieść o jego chorobie dwa lata wcześniej spowodowała niemałe poruszenie. W ratowanie Jacka zaangażowały się tysiące ludzi, organizowano koncerty charytatywne, zbierano pieniądze na leczenie. Wszystko jednak bez skutku.

Trzy lata po śmierci, w pięćdziesiątą rocznicę jego urodzin, Sejm RP nadał mu tytuł Narodowego Barda, sankcjonując to specjalną uchwałą. Zapisano w niej, że był jednym z najwybitniejszych artystów pokolenia opozycji, autorem piosenek, które śpiewano w podziemiu, więzieniach, na pielgrzymkach, strajkach, obozach emigracji i akcjach protestacyjnych, a także „podczas nocnych Polaków rozmów stały się one symbolem i swoistym akompaniamentem naszej drogi do wolności i niepodległości”.

Na spotkaniu ze studentami w Poznaniu, w maju 2001 roku wspominał: „W wieku 12-13 lat stworzyłem na miarę swojego wieku, własny sposób porozumiewania się z rodzicami - pisząc wiersze, krótkie fragmenty prozy, a potem wiersze śpiewając do akompaniamentu pianina czy gitary. Były to listy do rodziców o stanie mojej świadomości.”

Już jako nastolatek pisał filozoficzne powiastki i rysował. Kiedy miał 13 lat po raz pierwszy wziął do ręki gitarę. Był leworęczny, gryf gitary trzymał więc prawą ręką, ale ustawienie strun nie zmienił. I od razu też zaczął pisać piosenki, które były sprzeciwem wobec tego, co działo się w Polsce. Wydarzenia Marca 68, mając 11 lat, zawarł w piosence „Doświadczenie”, dowiedziawszy się, że sam również ma żydowskie korzenie. Studia humanistyczne były konsekwencją jego zainteresowań. Ten okres był dla niego etapem zabawy, wina, kobiet i śpiewu. Brał udział w festiwalach i zdobywał nagrody.

Do napisania „Obtawy” zainspirował go utwór Włodzimierza Wysockiego „Polowanie na wilki”, który usłyszał wiosną 1974 roku, będąc na prywatnym koncercie artysty

w warszawskim domu reżysera Jerzego Hoffmana. „Obtawa” - jak podkreśla Anna Grazi w swojej pracy magisterskiej „Życie i twórczość Jacka Kaczmarego” - nie jest dokładnym tłumaczeniem utworu rosyjskiego barda, a poetyckim opisem tego, co Kaczmarek zapamiętał z wykonania Wołodii. W swojej początkowej karierze miał sporo szczęścia, bo dostał się do kabaretu „Pod Egidą”. Poznał tam Przemysława Gintrowskiego i Zbigniewa Lapińskiego, z którymi przez wiele lat współpracował.

Pod koniec lat siedemdziesiątych stał się bardzo popularnym pieśniarzem. Lubili go opozycjoniści, z którymi się jeszcze nie utożsamiał, ale tolerowały go też władze. Sytuację tę określił kiedyś w rozmowie z Antonim Pawlakiem: „Miałem taką ideę, że można siedzieć okrakiem na barykadzie, ale to jest, kurwa, niewygodne”.

Ślub jednak wziął z córką partyjnego dygnitarza, byłego posła na Sejm, z Inką Kardys. Była wiosna 1980 roku, radosne czasy Solidarności, a Kaczmarek razem z Gintrowskim i Lapińskim nie tylko koncertowali, ale też wydawali płyty, które nazywali programami. Były to zebrane cykle piosenek w zbiorach: „Mury”, „Raj”, „Muzeum”. Dostali zaproszenie na koncerty do Francji i tam zastał ich stan wojenny. Gintrowski z Lapińskim wrócili do kraju. Kaczmarek został na długich dziewięć lat. To był szczególnie etap w jego życiu. Z jednej strony zaangażował się we wspieranie Polonii, koncertował dla niej, z drugiej - wpadł w wir towarzyskiego życia. Chciał sprowadzić do Francji swoją żonę Inkę i udało mu się to za pomocą fortelu - komuniści puścili ją na podstawie sfałszowanego zaświadczenia lekarskiego, w którym napisano, że mąż ma raka jądra.

W Paryżu otrzymali azyl polityczny. J. Kaczmarek mieszkał we Francji, ale jego piosenki żyły w Polsce. Do kraju trafiały kasety z jego utworami, które wydawała Niezależna Oficyna Wydawnicza „Nowa” i „CDN”. Rozprzestrzeniały się z nowymi programami, co potwierdza Krzysztof Nowak, przyjaciel Kaczmarego i redaktor wydań zbiorowych, dyskografii i poezji Jacka Kaczmarego.

Jacek Kaczmarek dziś znany jest głównie dzięki piosence o tematyce historycznej („Rejtan, czyli raport ambasadora”, „Sen Katarzyny II”, „Lekcja historii klasycznej”, „Jafta”, „Ballada wrześnieowa”) i społeczno-politycznej („Mury”, „Nasza klasa”, „Obtawa”). Przebywając na emigracji koncertował



m.in. w Stanach Zjednoczonych, Kanadzie, Australii, RPA, Izraelu oraz w większości krajów Europy Zachodniej.

Występował na rzecz podziemnej Solidarności, brał udział w licznych akcjach charytatywnych. W 1984 roku został członkiem Redakcji Rozgłośni Polskiej Radia „Wolna Europa” w Monachium z własnym programem „Kwadrans Jacka Kaczmarskiego”. Pisał też komentarze polityczne, prowadząc audycję tego radia „Fakty. Wydarzenia. Opinie”. Na emigracji powstały kolejne zbiory poezji i albumy, a wśród nich: „Zbroja” (1982), „Przejście Polaków przez Morze Czerwone” (1983), „Mój Zodiak” (1985), „Kosmopolak” (1987), „Notatnik australijski” (1988), „Dzieci Hioba” (1989), „Głupi Jasio” (1989). Po powrocie do Polski w 1990 roku odbył trasę koncertową, za której płytową wersję otrzymał w 2001 roku Złotą Płytę.

W 1993 roku powstała nowa płyta - „Wojna Postu z Karnawalem”. W 1994 powstały dwa kolejne programy: „Sarmatia” oraz zbiór kolęd i pastorałek - „Szukamy stajenki”. Na półki księgarń trafiła debiutancka powieść autobiograficzna Kaczmarskiego „Autoportret z kanałią”. W tym samym roku napisał libretto do musicalu „Kuglarze i wisielcy”, z muzyką Jerzego Satanowskiego. Rok później powstał kolejny program - „Pochwała łotrostwa”.

W roku 1995 roku Jacek Kaczmarski wraz z drugą żoną Ewą i 7-letnią córką Patrycją osiedlił się w Australii, skąd przyjeżdżał do Polski na koncerty i promocje płyt. Pobyt w Australii zaowocował nowymi tekstami, utrwalonymi na płycie „Między nami” (1997) oraz „Dwie skały”, nagranej w grudniu 1999 roku. Pisał też kolejne powieści, które ukazały się w Polsce: „Plaża dla psów”, „O aniołach innym razem” (1999) oraz „Napój Ananków” (2000). Został odznaczony przez prezydenta

RP Aleksandra Kwaśniewskiego Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski za zasługi w SZSP. Kolejną Złotą Płytę otrzymał za „Krzyk”.

W 2001 roku obchodził 25-lecie działalności artystycznej. Za jego życia ukazały się jeszcze płyty: „Dwadzieścia(5) lat później” i „Mimochodem”, a już po śmierci - tomik poezji „Tunel”, zestaw „Syn marnotrawny”, zawierający komplet wszystkich polskich i zagranicznych płyt nagranych przez poetę oraz zestaw „Suplement” z utworami nie zarejestrowanymi na oficjalnych płytach.

W marcu 2002 roku Jacek Kaczmarski trafił do szpitala w Gdańsku, nie zdecydował się na zabieg raka przełyku ze względu na złe rokowania operacyjne. Przed śmiercią został ochrzczony w wyznaniu rzymskokatolickim. 24 kwietnia 2004 roku jego prochy spoczęły w Alei Zasłużonych na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach w Warszawie.

Był członkiem Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, zasiadał w Radzie Nadzorczej Stowarzyszenia Pracowników Rozgłośni Polskiej Radia „Wolna Europa”. Napisał ponad 600 wierszy, 5 powieści i 2 libretta. Był kompozytorem muzyki do swoich wierszy i pieśniarzem. Ponad 25 lat wykonywał swoje utwory na scenie. Reprezentował nurt tzw. piosenki autorskiej. Pomimo śmierci, dalej jest ważną postacią polskiej kultury. Jego utwory interpretowane są na nowo nie tylko w kręgach piosenki poetyckiej, ale również w nurcie komercyjnym. Organizowane są festiwale poświęcone jego twórczości. Powstają również wydawnictwa opisujące jego życie i działalność artystyczną.

Jadwiga Michalak, Naémierz

Na podstawie: o-historii.pl/jacek-kaczmarski-bard-solidarnosci

Jacek Kaczmarski (1957-2004)

KATYŃ

Ciśnie się do światła niby warstwy skóry
Tłok patrzących twarzy spod ruszonej darni.
Spoglądają jedna zza drugiej - do góry -
Ale nie ma ruin. To nie gród wymarły.

Raz odkryte - krzyczą - zatechłymi usty,
Lecą sobie przez ręce wypróchniałe w środku
W rów, co nigdy więcej nie będzie już pusty -
Ale nie ma krzyży. To nie groby przodków.

Sprzączki i guziki z orzelkiem ze rdzy,
Po miskach czerpów - robaków gonitwy
Zgniłe zdjęcia, pamiątki, mapy miast i wsi -
Ale nie ma broni. To nie pole bitwy.

Może wszyscy byli na to samo chorzy?
Te same nad karkiem okrągłe urazy,
Przez które do ziemi dar odpłynął boży -
Ale nie ma znaków, że to grób zarazy.

Jeszcze rosną drzewa, które to widziały,
Jeszcze ziemia pamięta kształt buta, smak krwi.
Niebo zna język, w którym komendy padały,
Nim padły wystrzały, którymi wciąż brzmi.

Ale to świadkowie żywi - więc stronniczy.
Zresztą, by ich słuchać - trzeba wejść do zony.
Na milczenie tych świadków może pan ich liczyć -
Pan powietrza i ziemi, i drzew uwięzionych.

Oto świat bez śmierci. Świat śmierci bez mordu,
Świat mordu bez rozkazu, rozkazu bez głosu.
Świat głosu bez ciała i ciała bez Boga,
Świat Boga bez imienia, imienia - bez losu.

Jest tylko jedna taka świata strona,
Gdzie coś, co nie istnieje - wciąż o pomstę woła,
Gdzie już uśmiechem nawet mogiła nie czczona,
Dół nieominięty - dla Orła, Sokola...

„O pewnym brzasku w katyńskim lasku
Strzelali do nas Sowieni...”

29.08.1985 r.

NASI POLITYCY

Nasi politycy z okresu zaborów
Z wiedeńskich dworów, z narad carskiej dumy.
Chrońmy ich. Nie za koncepcje honoru.
Za wolę trwania. Przetrwac nikt nie umiał.

Bohaterami zatkana historia
Kraju, gdzie każdy ziarnem bohaterstwa,
Choć ani mu w głowie potomnych memoriał,
Choć ani myślą o Laurach męczeństwa.

Więc chrońmy, chwalmy tych co myślą słuszną
W kasynie przypadku na zamiar się zdali.
Szumna szlachetność przypowieścią duszną.
Chwalmy normalność i boski realizm.

18.06.1989 r.

Odszedł najwybitniejszy aktor komediowy



Fot. Archiwum Autora



Przez pół wieku swoimi rolami bawił, zachwycał i poruszał widzów finezyjnym odtwarzaniem granich postaci. Aktor posiadał twórczą moc na scenie teatralnej i przed kamerami filmowymi. Jego role nie tylko zachwycały, ale stanowiły też inspirację dla wielu pokoleń aktorów. Uważany był za najbardziej znanego z polskich aktorów komediowych

Wojciech Pokora urodził się 2 października 1934 roku w Warszawie. Był absolwentem Technikum Budowy Silników Samolotowych we Wrocławiu. Przez kilka lat pracował w warszawskiej Fabryce Samochodów Osobowych na Żeraniu, gdzie wraz z Jerzym Turkiem udzielał się w amatorskim kółku teatralnym. W 1958 roku ukończył Państwową Wyższą Szkołę Teatralną im. Aleksandra Zelwerowicza, a następnie przez wiele lat był wykładowcą akademickim na tej uczelni. Jego rolami dyplomowymi były: Wiliama w „Jak wam się podoba” W. Szekspira (1957 r.) w reżyserii Władysława Krasnowieckiego oraz Feliksa w „Kapeluszu słomkowym” Eugène’a Labiche (1958 r.) w reżyserii Kazimierza Rudzkiego i Ludwika Sempolińskiego.

Na deskach teatru repertuarowego zadebiutował rolą dziennikarza w „Wizycie starszej pani” Friedricha Dürrenmatta w 1958 roku, w reżyserii Ludwika René. To były pierwsze role przyszłego wielkiego aktora, którymi już wtedy zadziwił widzów. Przez długie lata (1958 - 1984) związany był

z Teatrem Dramatycznym w Warszawie. W latach 1984-1990 natomiast związał się z Teatrem Nowym, a w latach 1990-2001 pracował w Teatrze Kwadrat. Występował też w kabaretach: „Owca” i „Dudek” w latach 1966-1968. W teatrze telewizyjnym zdobywał największą popularność. Był długoletnim charakterystycznym aktorem znanego, telewizyjnego Kabaretu Olgi Lipińskiej. Od 1958 roku występował w spektaklach Teatru TV, zasłynął w nim m.in. rolą Papkina w „Zemście” z 1972 roku, czy Żewakina w „Ożenku” Gogola. Ma na swoim koncie kilkadziesiąt ról w telewizyjnym teatrze. Zostawił w nim kreacje niebywale charakterystyczne.

Do pełnego zaprezentowania osiągnięć scenicznych aktora należy wymienić również jego współpracę z Teatrem Rozmaitości (1977-1978), Teatrem Komedia (1979), Teatrem Studio (1983), Teatrem 6. piętro (2011), oraz Och-Teatrem (2012-2013). W Pokora występował w spektaklach wybitnych ówczesnych reżyserów: Jerzego Jarockiego, Konrada Swinarskiego, Wandy Laskowskiej, Piotra Cieślaka czy Janusza Kondratiuka. Odrębną działalnością aktora była reżyseria sztuk w różnych teatrach w Polsce. Ciekawe spektakle,

godne odnotowania, reżyserował na deskach Teatru Kwadrat, Teatru Syrena, Lubuskiego Teatru im. Leona Kruczkowskiego w Zielonej Górze, Teatru Powszechnego w Radomiu, Teatru Polskiego we Wrocławiu, Teatru Bagatela w Krakowie, Teatru Dramatycznego w Płocku, Teatru im. Adama Mickiewicza w Częstochowie oraz Teatru Dramatycznego im. Aleksandra Węgierki w Białymstoku. Stworzył szczególne role na planach filmowych. Niektóre przeszły do historii polskiej kinematografii. Pierwszy raz przed kamerami wystąpił w 1953 roku w „Przygodzie na Mariensztacie”. W 1960 miał okazję zagrać epizod w „Zezowatym szczęściu” Andrzeja Munka. Jednak jego właściwy debiut to pierwsze spotkanie i rola u Stanisława Barei w filmie „Mąż swojej żony”. Od 1960 roku stał się stałym aktorem komediowym Stanisława Barei. Wystąpił w niemal wszystkich jego filmach. W 1966 pojawił się na planie u reżysera w roli tajnego agenta w komedii muzycznej „Małżeństwo z rozsądku”, w 1972 zagrał główną rolę w komedii „Poszukiwany, poszukiwana”. Wystąpił też w filmie „Nie ma

róży bez ognia” z 1974 roku, w roli Kowalskiego w „Brunecie wieczorową porą” (1976), jako „chłop goniący świnię” w „Co mi zrobisz jak mnie złapiesz?” (1978), pracownik MO w „Misiu” (1980), docent Zenobiusz Furman w „Alternatywach 4” (1983) czy Antoni Kłusek w „Zmiennikach” (1986). Wymieniona obsada aktorska Wojciecha Pokora w filmach i jego gra w tych rolach została oceniona jako kultowa w komedii polskiej. Otrzymał m.in. zespołową Nagrodę Przewodniczącego Komitetu ds. Radia i Telewizji Jerzego Gruzy. Aktor jest wymieniany zawsze w czołówce polskich aktorów komediowych okresu PRL-u. Po zagranium w „Hydrozagadce” w 1970 roku Andrzeja Kondratiuka oraz inżyniera Gajnego w serialu „Czterdziestolatek” w latach 1975-1976 zdobył nowych wielbicieli swoich artystycznych wcieleni.

W 1981 roku zagrał ważną rolę w filmie Janusza Rzeszewskiego „Miłość ci wszystko wybaczy”, a w 1985 pojawił się jako von Nogay w „C.K. Dezerterach” Janusza Majewskiego. Ten ostatni film był wielokrotnie powtarzany w TVP i przyjmowany z aplauzem. Do roli tej powrócił w 1998 roku w „Złocie dezerterów”. W 1987 zagrał sierżanta w filmie Sylwestra Szyszki „Koniec sezonu na lody”. Ale pierwsze spotkanie aktora z filmem kryminalnym odbyło się w 1967 roku, zagrał wówczas konserwatora obrazów w filmie Ryszarda Bera „Gdzie jest trzeci król”.

W latach 1993-1994 Wojciech Pokora zagrał jedną z głównych ról w serialu „Bank nie z tej ziemi”, wystąpił również w „Czterdziestolatku 20 lat później”, w serialu Janusza Majewskiego „Bar Atlantic”. Zagrał też Edwarda Skorupę w komediowym serialu Jerzego Gruzy „Tygrysy Europy”. Poza gościnnymi występami w serialach „Niania”, „Miodowe lata”, „Klinika samotnych serc”, czy „Na dobre i na złe”, rzadko grywał w nowych produkcjach. W 2007 roku powrócił do roli docenta Zenobiusza Furmana w kontynuowanym legendarnym serialu Barei, tym razem pod tytułem „Dylemat 5”, w reżyserii Grzegorza Warchoła.

Latem w 2000 roku byłem w Międzyzdrojach na uroczystościach, gdzie w obecności tłumu turystów ulubiony aktor odcisnął swoją dłoń na „Promenadzie Gwiazd”. W. Pokora występował głównie w repertuarze komediowym, choć ma za sobą również role w produkcjach dramatycznych, na przykład w filmie wojennym „Kiedy miłość była zbrodnią - Rassenschande” Jana Rybkowskiego z 1967 roku, „Palace Hotel” z 1977 roku czy „Szczęśliwy brzeg” z 1983 roku. Wystąpił również w serialu telewizyjnym „Więzy krwi” z 2001 roku. Stworzył przeszło tysiąc kreacji na scenach i przed kamerami filmowymi. Był aktorem uniwersalnym, który z pasją oddawał się sztuce, przeżywał odtwarzane role, nadawał im charakterystyczne osobiste piętno, miał własny wypracowany artystyczny temperament w przekazywaniu ról komediowych. Zawsze twierdził, że „teatr jest szczególnie najważniejszą sceną jego życia”.

Za osiągnięcia artystyczne W. Pokora otrzymał wiele wyróżnień, nagród i odznaczeń, m.in. Odznakę 1000-lecia Państwa Polskiego, Złoty Krzyż Zasługi w 1978 i Złoty Medal „Zasłużony Kulturze Gloria Artis”. Od 1957 roku był żonaty z Hanną, którą poznał w czasach szkolnych. Miał z nią dwie córki oraz doczekał się trzech wnuczek, wśród nich jest aktorka i wokalistka Agata Nizińska, którą uwielbiał.

W. Pokora zmarł 4 lutego br. w wieku 83 lat na skutek komplikacji po udarze mózgu, którego doznał w grudniu 2017

roku. W dniu jego śmierci ukazały się wpisy w internecie: „talent nie do podrobienia”; „Uwielbiam jego talent i poczucie humoru, takich już prawie nie ma.”

10 lutego, po mszy świętej żałobnej w kościele św. Brata Alberta i św. Andrzeja Apostoła w Warszawie, W. Pokora spoczął na Cmentarzu Bohaterów Bitwy Warszawskiej 1920 roku w Radzyminie. Aktora pożegnał prezydent Andrzej Duda, który w odczytanym liście napisał: „Polska kultura traci wspańskiego aktora”. Jerzy Bończak - aktor i reżyser, który znał się z Wojciechem Pokorą przez czterdzieści lat, grał z nim w spektaklach i filmach, a także reżyserował przedstawienia z jego udziałem, w ostatnim pożegnaniu powiedział: - „Wszystkiego, co umiem, nauczyłem się od niego: słuchania publiczności, puentowania tekstu. To jest ogromna strata dla mnie i myślę, że to jest także strata dla polskiej kultury. To jest aktor nie do zastąpienia, nikt nie zagra tak jak Wojtek Pokora, nikt nie będzie miał jego lekkości i umiejętności poprowadzenia widza w kierunku, w którym tego chce.”

Zofia Czerwińska: - „Wojtek to osoba, która towarzyszyła mi całe życie. Bardzo go ceniłam. Szalenie uwielbiałam jego



Fot. Archiwum Autora

humor. Rzadko zdarza się człowiek z takim talentem, który potrafi rozśmieszać innego aktora. Bo wzbudzanie uśmiechu jest trudniejsze od wywołania łez. Mogę powiedzieć, że jego życiowym celem było rozśmieszanie ludzi, nie tylko w rolach, w które się wcielał, ale także prywatnie. Wspaniąta rola Papkina pozostaje jak żywa w mojej pamięci. Nie ma drugiego takiego aktora o takim talencie. Po jego odejściu zostanie wielki żal i pustka.”

Krzysztof Kowalewski: - „Wojtek to po prostu wspaniały aktor, który zostawił po sobie niezapomniane kreacje filmowe. Nawet nie podejmę się oceny tego, która z nich jest najlepsza, ale w mojej głowie najbardziej zapadły jego dokonania teatralne, takie jak rola Pustelnika w „Igraszkach z Diabłem”. Tuż obok nich jest jego rola w „Karierze Nikodema Dyzmy”, która nadal wywołuje we mnie podziw. Większość utożsamia Wojtkę z radosnym człowiekiem i aktorem komediowym. On był po prostu świetny w tym co robił i gdyby dawali mu więcej ról o innym zabarwieniu, na przykład dramatycznych, to też by sobie z nimi znakomicie poradził.”

Włodzimierz Lipczyński, Słupsk

wiersze najnowsze

Grzegorz Chwieduk, Kępice

OJCZYŻNA

Wysuwa się na plan pierwszy. Istnieje gdzieś dalej. Umyka. Nie przekłamuje kolorów. Z jej środka wszystko wychodzi i w niej się zbiega. Centrum naszego świata. Przepelnia głowę. Uświadamia własną głupotę. Jest jak obce ciało. Inni ludzie, ich oczy i zmarszczki. Beznadzieja, zgryzota. Tak bliska. Las, strumień. Cwierkanie wróbelka za otwartym oknem. Morze, góry, Hania. Miłe wspomnienia. Czyste fakty. Przełomowe momenty. Rewelacje sąsiadki. Wciąż poznawany teren. Miasto tętniące życiem. Fragmenty myśli. Odczuwana więź.

MARZENIA

Słoneczne i silne. Spotykają się na niebotycznych mostach. Lubią tańczyć. Zrywają się z błyskawiczną szybkością. Dzikie ognie. Obecność dziewczyny. Kształty młodego ciała. Diamenty w słońcu. Drżą w powietrzu. Mają wspaniałe pomysły. Szczęśliwe jak wiatr, jak noc, jak natura. Pachnąca cisza. Piękno świata. Te same, najwierniejsze, niebieskie oczy matki.

Romana Matecka, Kwakowo

POWROTY

Andrzejowi Mozolowi

Do twego rodzinnego domu
Prowadzi wschodzące słońce.
Przydrożne drzewa
Szepcą już obcym szlestem.
Ponad starymi domami
Niebo jak dawniej błękitne.
W obłoczku papierosa ujrzysz
Mglisty obraz
Tych, którzy odeszli,
Utrudzonych, pogodnych.
Gniazdo rodzinne
Uszczknięte zębem czasu
Obejmiesz ramionami.
Dotykam
W bajkę wyteśknioną przemienisz.
Na furtce
Zielenią umocujesz tabliczkę
Srebrem zapisaną:
„Zapraszamy na danie główne
Balsam dla duszy”.
Wnuki wdrapią się na kolana,

Tuląc przymilnie poproszą -
Dziadku, opowiedz
O teorii strun, horyzoncie zdarzeń.
Wiesz, wytropiono bozon Higgsa!
Potem lewitując się oddalą.
Tylko szarobura kotka
Jak niegdyś u stóp się ułoży
I znaną od wieków kotysankę
Mru - mrużankę zanuci.

Lidia Zygmunt, Tczew

ZAKORZENIONE

Odnalazła swoje kasztanowe drzewo,
zakwitło wcześniej niż pozostałe,
czerpała z jego korzeni
wszystkie szelesty, wiatru szmery wody.

siadała w wiatroszczelnej koronie,
wprowadzając inne ptaki w błąd,
utrzymanie równowagi sprawiało
nieco trudności.

w końcu przypomniała
sobie jak to się robi,

poranek po raz kolejny
wyklął się z jajka,
ptaki budowały swoje
gliniane misterium,

wtedy utraciła wiarę
w umiejętność
latania.

zapra gnęła się
uczłowieczyć.

GUGUŁY

ojciec mówił że ostatnia
odchodzi matka głupich
więc każdej nocy ćwiczę umieranie

zakopałam kosmyk włosów zapach
i tamtą sukienkę w jagodowe plamy

dogasam w tobie ledwo przywieram
jednak wciąż jestem dopóki kolejne słowa
nie wbijają się w plecy

a mówiłeś
dopóki świt nas nie rozdzieli

miejsca po tobie cholemiem bolą
dziś zagrzebałam ostatnie lato

właśnie osierociłeś moje uda

Aldona M. Peplińska, Motarzyno

CZTERY PORY ROKU

Kiedy muskają cię skrzydła motyla
Spojrzeń wpatrzonych bezgraniczną miłością
Wiosny pocałunek składa na niebie
Uśmiechnięty błękit nadchodzącego jutra

Gdy się zatracasz w blasku ciepła dłoni
Wplecionej objęciem pożądań wszelakich
Zawstydzony sufit rumieńcem oblanym
Częstuje westchnienie letniego popołudnia

Jak cię zasmuci oddalony płomień
Przyblakłej świecy waszych porozumień
Rozpłacz się wieniec szaroburych przeżyć
W jesiennym obrazie połączonych wspomnień

Albo w zimowym oddechu obojętności
Zmrozi ostatnie krople słonych rzęs
Lecz gdy się ocknie z rozterek odważnie
Wzbije się w górę poczawszy znów bieg

I niczym nić z kołowrotka losu
Odnajdzie igłę haftu muśnie brzęg
By się związały cztery strony w jedną
Dzięgając życia uczuć różnych ścieg

CO ZA FERIE

A na wsi zimą smutno.
Nie tak jak przed laty.
Dzieciom dzisiaj nudno.
Kiedys cieszył patyk!

Albo stare koło, potłuczone gamki.
Bałwanki, ślizgawki, albo sopte lodu.
Dzisiaj puste górki, smutne stoją sanki,
A cisza się wlecze za nimi do przodu.

Wieś się tak cieszyła śmiechem, wrzawą
wszelką,
Strojna w szal z kuligu do gwiazd przy
księżycu.

Teraz komputery stoją mocną belką,
Albo toną myśli pod stertą przepisów!

A na wsi było zawsze, jak u babci, mamy.
Za tym ona tęskni, co my pamiętamy...

Zygmunt Jan Prusiński, Ustka

DAWNO NIE BYŁAŚ W MOICH LUSTRACH

Dawno nie pisałem
nie zawsze mam kontakt z rzeczywistą liryką
trzeba ją poszukać - zagłębić
wgłębić swe postanowienie prawie przebić.

Mija dzień w kątach niedosytu
nie szeleści liść ostatni na klonie

a noce nie są rozpieszczone
tylko wiatr obecny jak zawsze przyjazny
- czyżby morski wiatr mnie lubił?

Dawno nie byłeś w moich lustrach
kobiecość zatacza swój urok -
przez to czynię porządek w domu
układasz i ty wiersze po swojemu
według stanu napięć.

Oglądam cię na zdjęciach w mroku
jedna lampka nocna wystarczy -
dotykam poszczególnie fragmenty
robi się jaśniej i tak ciepło w środku.

Wtorkowe spotkanie zaznaczę
nie będę szukał specjalnych słów
na przypomnienie i zatarcie - byś czuła
lotne imaginacje - szorstka jesień milczy.

A w czwartek wieczór poezji w Kobylnicy
te zjazdy mają coś z turniejów
starożytnych walk -

bo każdy poeta chce wygrać
i być sławny chociaż przez jedną
mijającą chwilę.

W CZWARTEK O CZWARTEJ

Przyjechałaś drogocenna ja z różą
kolorem miłości z kwiaciarni
i z rozkładem autobusów z Ustki do
Słupska - nie dojechał ten planowy
z przyczyn technicznych a tak sobie
poukładałem - przecież i róża była
radosna że tobie wręczę z nadmiarem
słów ułożonych wcześniej przecież
trzeba coś powiedzieć przyzwoitego...

Jedną godzinę pan z parasolem
rozkwitał w sobie a jaki poważny
deszcz - róża - i ty i wiele innych
dodatków nazbierało się na przystanku
autobusowym - wypaliłem trzy
papierosy przyzwoicie do końca
rozpisywałem elementy nie tylko
techniczne że noc nam się ułoży po
obfitej kolacji.

Jutro ostatni dzień Margot muszę
dokończyć roczny cykl wierszy - nie
zawsze się udaje artystycznie przekazać
poetyckie wymagania - być nastrojonym
facetem życie psotne jak hulanki wiatru
niesie tyle barw przemierza i przebiera
w draśnięciach dramatu zrywa ze mnie
koszulę by dostąpić - aktu.
Dojechałem do Słupska na stacji
wręczyłem tę różę w kolorze miłości
- i od tej pory zrobiło się ciepło - jak
każdy pocałunek jest dla mnie wart
więcej od pierścionka zatem wracaliśmy
do domu połączeni rękoma -

wiesz co Panno M. jesteś coraz
piękniejsza - w uniesieniach...

Marian Kwidziński, Białogard

O TOBIE MAMO

Naucz mnie mamó
opowiadać życie
z głębokiej ciszy grobu
Ja wiem ty zawsze chciałaś
milczącą modlitwą ust
tulić niepokój gorzkich chwil
na prezent aniołom składać bogaty
do skarbca niewidzialnego ukryty
Tak bardzo robiąc to skrycie
bez haftowanych ustrojów wstążeczek
bez ołtarzowych podwyższeń
w zapracowanym fartuchu wyrzeczeń
niosłaś swą świętość otwartą
na epitafium niedokończzone
chciałaś dla każdego z nas
być mamą po swojemu
milczącą a jednak otwartą
na heraldykę tego wiersza.

BLISKOŚĆ

Są uczucia szlachetne
okraszane codziennością
są koniki na biegunach
w dziecięcych ciągle rękach

Są noce piastunki dobrych snów
co uczą kruki śpiewać
a ja cóż:
wciąż uczę się
spokojnie w życiu dojrzewać dojrzewać

Są kieliszki na stole
otwarte jak nasze usta
są myśli wyprasowane
od poniedziałku do niedzieli
i dwa gołębie w galopie poczęte
to przecież ciągle my we dwoje
skąd więc ta dziwna pustka

Są wiosny z otwartymi oknami
z nienasyconym wiecznym apetytem
są obolałe serca z bliskim
dla siebie zachwytem

Jan Stanisław Smalewski

PRÓBA OPISU KOBIETY

Gdyby tak w koronę w dwa skrzydła aniele
albo w dwa wiatraki stojące na wzgórzu
lub też w gromnice chroniące przed burzą
ustawione w oknie - płonące nadzieją

gdyby tak kobietę opisać w szczególności
w absolutu ubrać ją zdobne odzież
gdyby po mistrzowsku pokonać rubieżę
rozpoczynając od huku dojść aż do armaty

Do podstawy i łoża - laweta mi w głowie -
do pierworództwa i staropanieństwa
Do odchodzącej od zmysłów wdowy...
Do raju ruczaju łąki i... dąbrowy

Gdyby tak wszystko to zebrać razem
wymieszać przyprowadzić a potem wystudzić
absolutnie pewnie powstałby ABSOLUT
muzy lirycznej - Matki wszystkich ludzi

Emilia Maraskiewicz, Darłowo

JESTEM JAK DRZEWO

stoję na ziemi i rosnę
jestem wolna silna i wiem
że wszystko jest możliwe

jestem częścią świata
słońce wstaje także dla mnie
więc czuję wdzięczność

czasem szaleje wiatr
szarpie za włosy i chłostkuje
niewidzialnym batem

a ja stoję nie walczę
bo mam to czego potrzebuję
do pełnego szczęścia

mam ręce do pracy
mam też oczy żeby patrzeć
na piękno tego świata

będę witać motyle
spoglądać w błękitne niebo
uśmiechać się do życia

NA BIAŁYM STOLE

wesołe pisanki
już całe zanurzone
w słońcu

zajaczkę
dźwigają smakołyki
obejmują serwetki

baranek niesie
czerwoną chorągiew
krzyczy Alleluja

przebiśniegi
wszystkim ślą życzenia
spokojnych świąt

na ten jakże istotny krok w życiu każdego Zupy". Miał plan. Przy użyciu odrobiny właśnie rodzącej się finezji oraz dobrze znanych odpowiednich technik manipulacji zamierzał osiągnąć cel. Na dźwięk tych słów ojciec prawie oszalał z radości, odzyskał zagubionego na tak długo syna. Najpierw ta muzyka a teraz to, pomyślał. Zorientował się, że to właśnie muzyka spowodowała nagłe dorostanie syna, postanowił więc zainwestować w jego artystyczną edukację.

W szkole muzycznej, do której Jasio zaczął uczęszczać, miał specjalne względy z uwagi na dodatkowe wsparcie finansowe rodziców, którzy wraz z dwoma innymi małżeństwami zasponsorowali wynagrodzenie dla architekta parku. Państwo Zbigniew i Zofia Zupa znakomicie zdawali sobie sprawę z - delikatnie mówiąc - niewielkiego potencjału jedynaka, słyszeli bowiem, jak ćwiczył i pomimo słabego słuchu muzycznego, byli w stanie ocenić jego mierne rezultaty. Cóż, dlatego wcześniej celowo zaznaczone zostało, że Jaś nie był mądry.

Dzięki pomocy rodziców wpływającej na przychylność nauczycieli jako jedyny z grona trzech osób mógł decydować o godzinie, treści oraz miejscu swojego egzaminu. Na każdym egzamin komisja oraz słuchacze zbierali się naprzeciwko muszli koncertowej o zarządzanej przez egzaminowanego godzinie trzeciej trzydzięci. O tej właśnie godzinie, jak słusznie obliczył, hałas powodowany znajdującą się nieopodal jezdnią osiągał apogeum, co pozwalało na swobodne granie, czy też, jak to się potocznie mówi - bez owijania w bawelnę - udawanie grania nawet najtrudniejszego utworu. W taki oto sposób Jasio z wynikiem bardzo dobrym ukończył muzyczną edukację. Ponoć próbował dostać się na studia na jakiejś mało prestiżowej uczelni. Odrzucono go jednak, gdyż jak stwierdzono, przystąpił do egzaminu nietrzeźwy. Nikomu bowiem z egzaminujących nie przeszło nawet przez myśl, że pomimo oceny bardzo dobrej na końcowym świadectwie, nie umiał grać.

Lekki wiatr rozgonił chmury, słońce obdarowało miasto swoimi promieniami, za który to podarunek wielce podziękowałem, ponownie wybuchając radością, która promieniując być może rozjaśni czyjeś śniadanie i zamiast na przykład

czyta gazety, ucieszony zacznie śpiewać, a na dodatek pobiegnie do piekarni, kupi świeże, jeszcze gorące, obficie posypane słonecznikiem razowe bułeczki i zrobi śniadanie swojej niespodziewającej się niczego, śpiącej pani, o której już być może, pomimo iż są razem od wielu lat, lekko zapomniał. Usiądą razem przy stole, ona nie włączy radia, on wyrzuci resztki gazety, której użył jako siatki na pieczywo, spojrzą na siebie tak jak kiedyś i opowiedzą wzajemnie historię z czasów, kiedy ich nie było, a w pracy promieniować będzie od nich radość i niecierpliwosc powrotu do domu.

Tak, radowałem się i nie zauważyłem, kiedy bank, do którego zmierzałem, pojawił się nagle jak straszliwe cygańskie marzenie.

- Za piętnaście minut otwierają - powiedział jeden z dwóch starszych mężczyzn czekających przed budynkiem. Wygląda na to, że swoją obecnością przeszkodziłem im w dyskusji, oddaliłem się więc o kilka metrów, usiadłem na schodach, udając brak zainteresowania.

- Mój syn to tak jak pański Antek tych szkół tyle pokończył i ten Uniwersytet, kurna felek, z tymi komputerami, a gwoździa nie umi wbić, a do łopaty to ma mięśnie z plasteliny. Moja stara mówi, że tak to już dzisiaj jest, że są robotniki i te od komputerów, że robotniki nie wiedzą, od której strony z techniką, a uczone na bakier z łopatą. Taki, kurna felek, świat, a człowiek musi płacić za te szkoły, bo to ponoć lepsza przyszłość. Jak nie chcę płacić, to baba się zaprze, a postaw się pan, to tylko problemy sam pan wiesz - zakończył lekko poddenerwowany.

- Tak, panie Wiesiu, lepiej robić, co każe, wtedy jest spokój, przeciwstawić się kobiecie to wbrew naturze, a wiadomo, że natura karze tych, co z nią nie bardzo. Takiego adidasa na przykład z Afryki - człowiek z małpą, tego, wiesz pan, o co chodzi. I co, lipa, komar pana ugryzie z takim adidasem - trup na miejscu, i komar, i pan. Jak niedawno byłem w Ameryce, to widziałem takich na ulicy.

- Nie bał się pan lecieć samolotem? - powiedział szczerze zaintrygowany, po czym zdecydowanie dodał: - Ja bym się, kur-na felek, bał. Jak taka fura żelastwa walnie o ziemię, to koniec.

- Trochę się bałem. Na początku mniej, później bardziej, jak się zaczął trząść, to się skapowałem, że to plastik.

- Plastik! - krzyknął zaoferowany Wiesiu.

- Plastik, panie, jak w trabancie. Gul mi skoczył, bo myślałem, że już nigdy nie zobaczę wnuków, co prawda pół chińczyki, bo Antek się ożenił z taką jedną Japonką, ale już żeśmy ze starą optakali i wybaczyli, że tak bez naszej zgody, ważne, że są szczęśliwi... Zastoniłem okno, bo mają takie specjalne wbudowane żaluzje i upiłem się, no i usnąłem.

- No to dobrze żeś pan nie spanikował.

- Eeee, no trochę to spanikowałem - szczerze wyznał lekko zawstydzony X.

- Ale wiedziałeś pan, gdzie szukać pomocy, znaczy się, wiedziałeś pan, gdzie dają te flaszki na uspokojenie, a to znaczy, że nie było tak źle.

- Słuchaj pan dalej - ciągnął X. - Odsuwam do góry tę plastikową żaluzję, a tu, panie Wiesiu, gwiazdy. Na górze to normalne, że są, no nie, ale na dole też były. Ja myślał, że my w kosmosie. W tym trabancie w kosmosie. Pomyślałem, że pilot się pomylił z tymi kierunkami, każdemu się zdarza. Pierwszy raz w życiu ogłupiałem ze strachu, a tu nagle w megafonie stewardessa mówi, że teraz przelatujemy nad jakimś tam wielkim miastem, mówię panu, panie Wiesiu, kamień mi spadł z serca, jak się skapowałem, że to na dole to światła tego miasta, no a później zrobiło mi się trochę głupio, ale chyba nikt nie zauważył mojej paniki.



- Kurna felek, no to żeś pan przeżył, na samą myśl chce się coś wypić.

- Aaa, to panie Wiesiu wcale nie taki zły pomysł.

Tak, tak - pomyślałem: człowiek podobnie jak i powierzchnia ziemi zawiera około siedemdziesiąt procent wody, przez co przyjmowanie płynów jest czynnością niezbędną. Dwa litry dziennie zdecydowanie zapobiegają odwodnieniu, a odwodnienie to rzecz niebłaha. Najwyraźniej pan X oraz grubawy pan Wiesio zaznajomieni byli z nie każdemu znanymi zasadami zdrowego odżywiania się.

Na twarzach czekających osób pojawiło się zadowolenie, kiedy przybyła w towarzystwie ochroniarza postać, jak przypuszczałem, menadżera banku, otworzyła drzwi. Po dłuższej chwili ocknąłem się z oczyszczającej bezmyślności, wstałem, otrzępiałem brudne od trawy niedoschnięte spodnie i wszedłem do środka. Wewnątrz wziętem powiadamiający o mojej kolejności numerki, po czym wygodnie usadowiłem się na skórzanej kanapie, która to swoją wykwintnością onieśmiała oburzonych moim nieświeżym ubraniem, stojących klientów.

Było mi dobrze. Miałem nadzieję na długi pobyt wewnątrz, ponieważ po pierwsze, jak wcześniej zaznaczyłem, było mi dobrze, po drugie lubię przebywać wewnątrz monumentalnych budynków, starych czy nowych, nieważne, czym większe, tym lepsze. Świadom jestem, że swoją wielkością mają zastraszać, uświadamiać o ludzkiej niższości, a nawet poniżać, ale mnie to jakoś nie rusza. Po trzecie, lubię obserwować ludzi, mogę nawet powiedzieć, że jest to jedno z moich wielkich życiowych zainteresowań. Sposób, w jaki się poruszają, o czym rozmawiają, jak zachowują się w podobnych sytuacjach - u jednych można zauważyć wariacje podobnych uczuć lub też uczuć pokrewnych, u innych zupełnie niespodziewane reakcje, tak jakby nie całkiem należeli do homo sapiens, jakby byli jakimś odrębnym gatunkiem nazwanym zapewne ku czci pewnego bliżej nieokreślonego przedstawiciela owego gatunku homo sapiens bzikus, niekoniecznie gorszym, niekoniecznie lepszym, po prostu innym. Z obydwu gatunków interesował mnie najbardziej homo sapiens normalis, ponieważ zdecydowanie do niego nie należałem. Niezupełnie też należałem do homo sapiens bzikus, ale zdecydowanie więcej miałem wspólnego z nim aniżeli z homo sapiens normalis, którego chyba w ogóle nie rozumiałem i dlatego podjąłem się owego trudnego, ale przyjemnego zadania jego obserwacji. Byłem w banku, co tu dużo gadać, jednym z najlepszych miejsc do studiowania zachowań wyuczonych. Wystarczy jedynie spojrzeć na sposób, w

jaki ludzie poruszają się wewnątrz. Wystarczyło tu spojrzeć na pana X oraz grubawego pana Wiesia - co za natychmiastowa przemiana, piękne i oszałamiające było to studium kontestacji. Sposób, w jaki odnosili się do siebie, sposób, w jaki odnosili się do obsługujących ich pracowników bankowych, którzy ponizająco traktowali mało wyrafinowane wyglądających, poczciwych starszych panów, którzy to, można powiedzieć z prawie z duchową pokorą, cierpliwie znosili ich chłodne, dominujące głosy chłostani ich nieprzyjaznymi spojrzeniami.

Nie podobało mi się to, przestało mi się tu w ogóle podobać. Chciałem wstać, podejść do okienka, wyciągnąć chuderlawego piękniśa ze starannie nażelowaną fryzurą z za jego szklanej wystawki i niewyrafinowane dać mu w zęby albo może wyrzucić go na środek sali i tam skopać. Przez głowę przelatywało mi wiele różnorodnych sposobów z tych oraz minionych czasów, w jakie mógłbym ukarać przyznanego amanta za brak szacunku dla starości i prostoty, która jest piękną i nadzwyczaj rzadką dzisiaj cechą. Zacząłem tonąć w najciemniejszych wydarzeniach historii, zapomniałem już o nierozumnym gogusiu - utonął w morzu ciemności, był malutką kropką rozdartą na częsteczkę przez szalejące fale, zniknął, nie liczył się wobec ogromu okrucieństwa, którym obdarzali się ludzie. Myślałem o inkwizycji hiszpańskiej, o 20 milionach zabitych w imię Boga, o wojnach, o politykach, którzy z dumą prowadzili ludzkość ku zagładzie, o kozie Judaszu wytresowanej przez pasterzy, aby prowadzić owce do rzeźni, o podbojach Tiglatpilegara 3, o walucie Korei Północnej, o handlu niewolnikami, o ścianie w samym środku Europy dzielącej piękne i straszliwe miasto, i o upadku Cesarstwa Rzymskiego, i o podążającym za tym chaosie.

O tym właśnie zacząłem myśleć, rozkręciłem się w nie tę stronę, nie tędy, trzeba zawrócić, trzeba przestać, trzeba jeść pięć posiłków dziennie i nie doprowadzać do odwodnienia, wierzyć w swój własny świat, pierwszą i drugą zasadę miłości, łagodności i piękna. Zacząłem myśleć od nowa, nie dało się tu nic naprawić, trzeba było wszystko zacząć od początku. Wyjść, wyjść natychmiast i zaczepić wzrok o gładkie grzbiety ptaków i naddciągające z dalekich krajów chmury, na których jeszcze można dostrzec niedawne spojrzenia pełne marzeń ludzi jak planety wspaniałych i jak one odległych.

Konrad Karpowicz, Słupsk

Opowiadanie zostało wyróżnione w Konkursie Literackim dla Nauczycieli - 2017, organizowanym przez Pedagogiczną Bibliotekę Wojewódzką w Słupsku. (Z)

Przeżyłam atak paniki

W recenzjach zestawia się Maślone i jego film z wielkimi nazwiskami kina światowego, chyba głównie dla nobilitacji



Obejrzałam „Atak paniki” według scenariusza i w reżyserii Pawła Maślony. Siadłam sobie zupełnie nieprzygotowana na to, co pojawi się na ekranie. Kiedy więc na ekranie zobaczyłam faceta przed radiowym mikrofonem, w planie amerykańskim, który przy pomocy białego balonika tłumaczył budowę wszechświata i zależność relacji międzyludzkich od ilości wpompowanego powietrza, wpadłam w panikę. Co ja tu robię!?! Uczucie narastało. Ostry montaż scen i sekwencji mało, w pierwszym odbiorze, ze sobą powiązanych przeczył nawykowi odbioru linearnej fabuły. I w tej chwili trudno byłoby mi opowiedzieć jakąś jedną historię, chociaż w zakończeniu

niektóre wątki łączą się, tworząc zdeformowany fragment rzeczywistości. A może nasza rzeczywistość właśnie taka jest? Porąbane, nieprzystające do siebie narracje samotnych ludzi bez względu na wiek, których podstawowym językiem komunikacji jest słowo k...a w różnych zaśpiewach, dalekie jest od mojego doświadczenia, ale ludzie mówią, że taki jest współczesny świat. Świat tak zwanej klasy średniej.

Trzej kilkunastoletni chłopczy, elegancko „wyczesani”, w zamkniętej przestrzeni strychu jednorodzinnego domu, najarani, próbują jednym słowem k...a wyrazić narastający niepokój, bezradność, bo sytuacja ich przerasta: jeden z nich



FILM

odpływa. Ciężarna panna młoda na własnym weselu opowiada o przygotowaniu do ekskluzywnego porodu, ale zaczyna rodzić podczas weselnej imprezy. Z psim behawiorystą, który odbiera poród, komunikuje się prostym k...a. Małżonkowie w średnim wieku ze świeżą rumianą opalenizną wracają samolotem z wypasionych wakacji w towarzystwie szefa, który sugeruje zamianę miejsc w samolocie. Obok siada przerażająco otyły obcojęzyczny gaduła, który nieoczekiwanie schodzi z tego świata, co przerażeni małżonkowie z różnych powodów próbują ukryć. Autorka kryminałów podczas spotkania z byłym mężem neurotycznie próbuje ukryć nadzieję na jego powrót. Młoda dziewczyna w wynajętym mieszkaniu, która zostawiła w domu matkę z uzależnionym od gier komputerowych bratem, zarabia wirtualnym porno-biznesem. Punktem kulminacyjnym jest wesele (tę koncepcję stworzył Wyspiański, co wszystkim wiadomo, ale przywoływany jest też „Demon” Marcina Wrony), powszechnie znana przestrzeń kultury, wesele, podczas którego widz poznaje powiązania bohaterów. Były mąż jest ojcem dziecka rodzącej panny młodej, która nie zaprosiła na wesele przyjaciółki ukrywającej swój porno-biznes, a której uzależniony od gier brat należy do obsługi weselników. Jakie to zagmatwane!

Nie wymieniam nazwisk aktorów, znanych głównie z telewizyjnych seriali, bo żaden nie przekroczył granicy

własnego temperamentu, własnego emploi, technik gry, od Żmijewskiego, Segdy do Wyszyńskiej, ale to moja indywidualna ocena, w innych recenzjach same zachwyty, szczególnie debutantami. No, może jestem zbyt surowa, były dobre „momenty”.

I nie jest to komedia, i nie jest to dramat. Odczytuję film jako groteskę społeczną z powodu przerysowań, śmieszających i przerażających. Film „Atak paniki” jak krzywe lustro odbija problemy i fantazmaty polskiej klasy średniej, która nadyma się często jak ów biały balon w pierwszej scenie zapowiadającej to, co się stanie. Balon pęknie napompowany ponad miarę. Pęknie, wywołując panikę, bo okaże się, jacy naprawdę jesteśmy.

Nie rozwijając szczegółowej analizy stanu rzeczy, przeprowadzonej w świetnej książce Andrzeja Ledera pod tytułem „Przeźniona rewolucja”, jego tezę spróbuję podsumować film Maślony: „Zasymilowane pierwiastki, ukrywając pozostawione gdzieś za sobą barbarzyństwo”, pozwalają rozwijać przeciwny kierunek ucieczki: do przodu, wraz z globalną cywilizacją. W tej baśni jesteśmy po prostu częścią czegoś uniwersalnego, co pędzi w przyszłość tak gwałtownie, że nie ma żadnej historii ani genealogii. Liczy się tu i teraz. Wakacje w Toskanii, praca w korporacji, co ma angielską nazwę, garnitury od Bossa, narty w Trois Vallees, dzieci na studiach w Londynie, a co najmniej na SGH. Na obiad zaś przysłowiove sushi. I narzekanie na „ten kraj”. Na „buraczaną mentalność”. Na niewybudowane drogi i pazernych polityków z PSL. Bo przecież my z PSL i jego chłopskim elektoratem nie mamy nic wspólnego”.

W recenzjach zestawia się Maślony i jego film z wielkimi nazwiskami kina światowego, chyba głównie dla nobilitacji.

„W artykułach krytyków mnożą się porównania: a to do „Magnolii” Paula Thomasa Andersona, a to do argentyńskich „Dzikich historii” Damiána Szifrona, nawet do filmu Roberta Altmana „Na skróty”. Kreacyjność „Ataku paniki” przywołuje na myśl „Pulp Fiction” Quentina Tarantino.” - pisze ks. Andrzej Luter w swojej pochlebnej recenzji.

Film w groteskowej konwencji opisujący współczesną rzeczywistość zaskakuje nieoczywistością, prawdą; podejmuje ważny wątek polskiej współczesnej kultury, prawda, stawia pytania o naszą tożsamość, prawda. To wszystko prawda, dlatego polecam, dla wyrobienia własnego zdania. Z moim nie warto się liczyć, bo jest nieco buraczane.

Czesława Długoszek, Objazda

Promocja najnowszego tomiku wierszy Emilii Jastrzębek-Zimnickiej



*Do świetlicy wiejskiej w Izbi-
cy trzeba było donieść ławki,
by wszyscy mieli na czym
usiąść, tak duże było zainte-
resowanie najnowszym to-
mikiem wierszy Emilii Jastrzę-
bek-Zimnickiej, mieszkającej
od lat w tej wsi, wielce za-
służonej dla Pomorza poetki*

Pani Emilia doczekała się już szóstego tomiku wierszy. Sama zebrała do niego wiersze i zatytułowała „Na ostatniej drodze”, by po poetycku - jaka sama w nim wyznała - pożegnać się już ze swoimi czytelnikami. W swoim słowie napisała: „Tomik „Na ostatniej drodze” jest ostatnią moją w życiu książką. Stanowi syntezę



i podziękowanie za przeżycie koszmaru drugiej wojny światowej, którą Najwyższy Pan i Bóg tego świata pozwolił mi przeżyć. Myślę, że w czasie długiego życia miałam szczęście do dobrych ludzi, wspaniałych rodziców, nauczycieli, profesorów. To, że tak bardzo ukochałam piękno mej ojczystej zie-

Szkoły Podstawowej w Pobłociu, Paweł Żmuda - dyrektor GOK w Główczykach - organizator spotkania, sołtys Izbicy, przedstawiciele Ochotniczej Straży Pożarnej i inni.

W najnowszym tomiku znalazło się ponad 50 pięknych wierszy, osadzonych głęboko w tradycji ludowej, wiejskiej.

Autorka wstępu Czesława Długoszek z Objazdy napisała: „Emilia Jastrzębek-Zimnicka, rocznik 1938, ma w literackim dorobku kilka tomików wierszy, wciąż pisze i z radością z pamięci recytuje swoje wiersze. Tomik „Na ostatniej drodze” w zamierzeniu autorki jest pożegnaniem z Czytelnikami. Motyw odejścia pojawia się w wielu zamieszczonych w książce wierszach. Pięćdziesiąt dziećmi wierszy ujętych w pięć tematycznych rozdziałów przywołuje od dawna obecne w twórczości poetki tematy i obrazy. Zimnicka to poetka o chłopskim rodowodzie, która nigdy nie zagubiła ludowej wrażliwości na piękno natury, szacunku dla wszelkich przejawów życia, szczerzej religijności. Dlatego zło dostrzega



Fot. J. Maziejuk

mi, w tym szczególnie ziemi pomorskiej jest efektem spotkań z wszystkimi bliskimi mi i serdecznymi ludźmi. Wiem, że śmierć upomni się o swoje i będę musiała zostawić swoją coraz piękniejszą ojczyznę. Będzie mi żal odejść i pożegnać to żywe, pulsujące piękno. To jezioro w koronie trzciny, zieleń lasów, łąki i wiosenne delikatne listki brzozy. Ale taka jest smutna kolej rzeczy.”

Na spotkaniu promocyjnym 2 marca br. w Izbicy dowiedziała się, że to pożegnanie jest przedwczesne, bo wszyscy życzyli jej jeszcze kolejnych tomików. To prawda, że doczekała 80. urodzin, (świętowała je także podczas spotkania), ale wciąż jest jeszcze aktywna i wena poetycka jej nie opuszcza. Nikt nie uwierzył, że jest to jej ostatni tomik, a na promocję do świetlicy wiejskiej przyszło i przyjechało z różnych miejscowości naprawdę dużo sympatyków jej poezji. Dzieci ze szkół w Pobłociu i Główczykach przypominały jej wiersze z wcześniejszych tomików i z najnowszego. Pięknie swojej poetce też zaśpiewały.

Teresa Florkowska - wójt gminy Główczyce uhonorowała poetkę listem gratulacyjnym. Był urodzinowy tort, przypomnienie drogi życiowej poetki i dużo kwiatów. Pogratulować autorce tomiku przyjechali poeci z Grupy „Wtorkowe Spotkania Literackie” ze Słupska. Dziękowała za piękne wiersze przedstawicielka Banku Spółdzielczego w Ustce, dyrektorka

w samym człowieku, w nieprzebraniu przez niego właściwej hierarchii wartości. Spisała poetycki testament, świadoma własnego kresu, wierząc w moc poetyckiego słowa. Osobną



Fot. J. Maziejuk

cechą jej poezji nie do przecenienia, jest wierność ludowej frazie poetyckiej i tym elementom języka, które jej twórczość stawiają w nurcie poezji ludowej. Tomik ten odczytuję zatem jako projekcję świata w drodze ku nowoczesności, ostatniej drodze ocalającej dawne wartości, bez których nasze człowieczeństwo może okazać się ułomne.”

Zbigniew Babiarski-Zych

Emilia Jastrzębek-Zimnicka: „Zanim odejdę”, Starostwo Powiatowe w Słupsku, 2017, wyd. I, nakład 500 egz., ISBN 978-83-60228-79-1.

Zmarła Krystyna Wojewoda

Na ostatnie, styczniowe spotkanie nie przyjechała już do Słupska. Wkrótce po nim dowiedzieliśmy się, że zmarła w Miastku, w samotności.



Pani Krystyna Wojewoda współpracowała z Powiatem Słupskim od 2013 roku, właśnie w tym roku po raz pierwszy zamieściła swoje wiersze we „Wsi Tworzącej” i rozpoczęła współpracę ze słupską Grupą „Wtorkowe Spotkania Literackie”. Wcześniej swoje wiersze drukowała również w Tygodniku Miastekim, a od 2012 roku należała także do literackiego Klubu „Wers” w Bytowie.

Urodziła się w 1940 roku w Muhlhausen. Od 1945 mieszkała w Miastku. Pierwszy wiersz opublikowała w Dzienniku Bałtyckim. Potem, zanim rozpoczęła współpracę z Klubem „Wers” i grupą słupską, udało się jej wydrukować jeszcze kilkanaście wierszy o różnorodnej tematyce. Jak ważna była dla niej poezja i kontakt ze środowiskiem, niech świadczy to, że na spotkania do słupskiego starostwa i imprezy poetyckie w Damnicy, Kobylnicy przyjeżdżała z Miastka taryfą i tak też wracała, płacąc wysokie rachunki...

Pięknie, z ogromnym wyczuciem prezentowała zawsze swoją poezję. To jej wiersz „Kraino moja” w opracowaniu muzycznym Patryka Skarbak-Tłuchowskiego i w wykonaniu Darii Korowajczyk - studentki Akademii Pomorskiej w Słupsku, przyniósł w ub. roku jej wykonawczyni nagrodę specjalną na VI Powiatowym Przeglądzie Poezji Spiewanej w Damnicy, w kategorii utworów lokalnych twórców. Było to najwyższe wyróżnienie w tej kategorii.

Pani Krystyna Wojewoda dwukrotnie zmieściła swoje wiersze w powiatowej antologii poezji wiejskiej - w 2016 roku w zbiorze „Nie zapytam” i w 2017 w zbiorze „Tragarze metafor”. W tej pierwszej wyznała, że zaczęła je pisać w 2009 roku, kiedy została sama. Od tego czasu każdą wolną chwilę poświęca ich tworzeniu. Trzyma się twardo swoich przemyśleń. Kiedy wokół pojawiała się pustka, samotność, wypełnia ją poezją, którą traktuje jak lek na wszelkie słabości i zło. **(Z)**

POŻEGNANIE

Kryśka(2)



- *Witek, na miłość Boską!
- zagrzała matka.
- Przecież sama wystawiła
dzieci do ogrodu. Dorosli
muszą rozmawiać jak dorośli.
- Rozmawiać, a nie kląć
na czym świat stoi.*

- *Świat nie stoi, a upada, mamko.
Poza tym, rozmawiać znaczy
nazywać rzeczy po imieniu.*

Jaśminowa herbata od kilku minut stała nietknięta, za to wytrawne wino zniknęło z prędkością wyrzucanych z karabinu pocisków. Jej aromat tracił kojące właściwości i zaczął drażnić biesiadników swoją intensywnością. Czuwająca nad prawidłowym przebiegiem ceremoniału pani Anastazja natychmiast oddelegowała imbryk do kuchni, zaś w jego miejsce postawiła talerz z soczystymi jabłkami. Najwyraźniej były to owe słynne jabłka niezgody, bo po ich lekkim zaledwie nadgryzieniu panowie ponownie wytoczyli działa. Rozmowa zeszała na temat wartości.

- Wy, młodzi, dyskredytujecie wszystko to, co jest ważne dla nas, starych - skarżył się dziadek. - W ten sposób próbujecie pozbawić nas godności. Uczyliśmy was szacunku dla

dorobku minionych pokoleń, a w zamian dostaliśmy wzgardę. To nieludzkie.

- Ludzką rzeczą jest nie przyjmować wszystkiego, co nam próbujecie sprzedać w krwawym majestacie, na wiarę - odparł zarzuty Witold. - Wasz dorobek stanowi dla nas jedynie punkt wyjścia. Musimy oddzielić w nim ziarno od plew. Nie przekazaliście nam idealnego świata. Ani wolnej Polski.

- Jak śmiesz?! Tyle straconych żyć... Nie macie prawa oceniać skali naszego poświęcenia! Jesteście na to za młodzi, brakuje wam doświadczenia i szerszej perspektywy.

- A czy ja podważam wielkość waszej martyrologii? Ja tylko próbuję odnaleźć we współczesnym świecie jej sens. Chyba nie było warto...

- Jesteście bez serca!

- Mamy rozum, to wystarczy.

- Sugerujesz, że my byliśmy go pozbawieni?

- Traciliście go z każdą poniesioną klęską i absurdalną próbą jej wytłumaczenia. Wam zawsze na drodze po laury stała jakaś brzoza.

- To prawda, nasz Stach jest pod tym względem wyjątkowo samosiejny - zachichotała ciotka Lukrecja, nie przewidzawszy, że za sprawą jednego niewinnego żartu automatycznie stanie się wrogiem rozsierzonego nestora rodu.

Stach spojrzawszy na nią demonicznym i karcącym wzrokiem, po czym wyrwał z jej dłoni butelkę wina, której zawartością zapagnęła właśnie podlać swoją wyzwoloną myśl. Wszyscy w rodzinie wiedzieli, że ciotka Lukrecja, gdy tylko posiedzi chwilę przy odkorkowanej butelce, staje się wolnomyślicielką. Ujrawszy eschatologiczną groźbę na twarzy wzburzonego Stanisława, w mig otrzeźwiała i potulnie wbiła się w bujany fotel, a głowę schowała za mocno przywiedle gałązki buzu. Był to mistrzowski, choć przypadkowy, kamuflaż.

- My po prostu mieliśmy trudniej. Dojrzewialiśmy w podłych czasach mordu i głodu - tłumaczył zawzięcie dziadek.

OPOWIADANIE / DOKOŃCZENIE

- Nasze pojedyncze życia nie liczyły się, o ich wartości decydowała zbiorowa walka.

- Nadal żyjemy pośród mordu i głodu, nie wypleniliśmy ich swoją solidarnością. Ale naprawiliśmy wasz błąd: dla nas pojedyncze życie ma wysoką rangę, jest wartością samą w sobie. Nie składamy go w ofierze.

- Bo staliście się podłymi i nieczułymi na krzywdę innych egoistami. Koniec waszego nosa to granica pola bitwy. Wykreśliliście słowo „naród” ze swojego słownika.

- Nie, po prostu zrozumieliśmy, że naród tworzą szczęśliwi i jednostkowo wolni obywatele. Z naszych marzeń o lepszym życiu wyrasta zgodny duch zbiorowości. Każdy kroi go według własnej miary. Ktoś musi być kieszenią na piersi, ktoś inny szwem pod pachą, a jednak wszyscy tworzymy jeden garnitur.

- Daruj sobie te obrazoburcze porównania. Szanuj przy najmniej mój zawód, który jest czymś więcej niż zwykłe rzemieślnictwo. Uratował mi życie w czasie wojny.

- Bo szyćle emblematy dla Niemców! Haftowałeś Żydom zwiastujące im zagładę gwiazdy.

Pani Anastazja, uniesiona erupcją gejzeru w postaci wyplutej z ust herbaty, potrafiła cukiernicę, z której gęsto wysypała się na stół biała śmierć. Wymamrotawszy pod nosem jakieś zaklęcia, natychmiast zaczęła zgarniać ją dłonią na podłogę, co nieoczekiwanie spowodowało pod nogi Kryski dwa wygodniałe niemieckie owczarki. Tłukły ją boleśnie podnieconymi ogonami po pischzelach i łapczywie lizały odstonięte kostki oblepione kryształkami cukru. Kryska wierzgała niczym rozjuszone zwierzę. Nie miała szans w starciu z kompulsywnie pochłaniającą z niej słodycz parą wymuskanych sierściuchów. Gdyby mogła, chwyciłaby natrętnę psiska za szyję i wyrzuciłaby je przez okno, wprost w głębokie czeluście krzaków bzu.

- Piękna metafora nam się popełniła! - krzyknął Witold. - Niemieckie psy u stóp dumnej Polki o żydowskich korzeniach. Jedzą jej z nóg.

- Witok! Zmiłuj się! - jeszcze głośniejszym głosem odżyknęła pani Anastazja.

- A Niemcy litowali się nad Żydami? W XVII wieku barbarzyńcy walczyli z wrogiem „ogniem i mieczem”, w XX wieku - gazem i prochem. Testowano na Żydach najnowsze militarne trendy. Cały świat o tym wiedział, ale nic nie powiedział. I nasz czcigodny dziadunio też wiedział, a mimo to obszywał Tanatosem ich wątłe ramiona.

- Gdybym wtedy nie przeżył, nie byłoby ciebie.

- A więc jestem twoją rehabilitacją za tamto? Myślisz, że w ten sposób oddałeś światu to, co mu wcześniej zabrałeś?

- Tamto trzeba było porzucić bezpowrotnie. Inaczej się nie dało. Ty tego nie zrozumiesz.

- Ja nie chcę tego rozumieć. Po prostu nie życzę sobie, by zasad i powinności uczył mnie ktoś, kto stanowił ich zaprzeczenie. I nie interesują mnie okoliczności zewnętrzne. Moralność albo ktoś w sobie ma albo nie. Tertium non datur. Tak, tak, dziaduniu, byłeś cichym mordercą. Ludobójcą.

- Milcz gówniarzu! Byłem robotnikiem przymusowym! Nie katem, a ofiarą systemu!

W pokoju zapadła grobowa cisza. Ciotka Lukrecja skryła się za bzem już nie tylko twarzą, ale całą swoją osobą. Pani Anastazja starała się jogicznie wyregulować oddech, dziadek Stanisław rozpiął koszulę do piersi, niemieckie owczarki odmaszerowały do kuchni. Wojna zawisła w powietrzu. I doszłoby do niej niechybnie, gdyby nie szlachetny zryw ciotki Zuzanny, która do tej pory siedziała przy stole zupełnie wyciszona. Niesiona altruizmem, własną piersią zdecydowała się obronić rodzinę przed nią samą.

- Nie poznaję was i nas. Staliśmy się karykaturą i wynaturzeniem wielopokoleniowej rodziny. Zbyszczeliśmy zacząć

familijną tradycję, z której nasze nazwisko słyneło w całej okolicy. I choć na zewnątrz postrzegają nas jako idealny kolektyw, gryziemy się jak wilki. Zapomnieliśmy, że nasza wspólnota istnieje dla dobra jej członków. Zamiast humanizować, zdehumanizowaliśmy się. Przestaliśmy być dla siebie nauczycielami człowieczeństwa. Staliśmy się surowymi krytykami. Gdzie wasza, nasza, empatia? Gdzie szacunek?

- „Prawdziwa cnota krytyk się nie boi” - zripostował Witold, usadziwszy tym samym ciotkę z powrotem na obitym aksamitem tronie ciszy i dumania. - Nie możemy się kochać, gdy nie ma między nami szacunku.

- No właśnie, Wituś, zaczynasz rozumieć.

- Nie ma między nami szacunku, bo nikt z nas na niego nie zasługuje. Ta rodzina nie udźwignęła na swoich plecach drabiny wartości. Zdeptała ją za przyzwoleniem pozostałych jej członków. A teraz siedzicie spokojnie, popijając wino i herbatkę, wolni od wszelkich rozliczeń i konsekwencji swoich wyborów. A jednak coś was w środku uwiera...

- „Kto jest bez grzechu, niech pierwszy rzuci kamieniem” - wymamrotał dziadek Stanisław.

- Wystarczy, że obrzucamy się błotem i obelgami - skwitował bez namysłu Witold. - Najwyraźniej to nas oczyszcza.

- Cicho! Kwiatkowscy przechodzą pod oknami - oznajmiła szukająca ratunku w widoku nieba ciotka Anastazja. - Państwo Idealni nie powinni słyszeć nas takich.

- Jakich? - zapytał z przekąsem Witold.

- Pieniących się.

- Raczej - obnażających się. To, akurat nie jest sprzeczne z mieszczańskim obyczajem.

- Ale po co mają wiedzieć?

- Żeby przestali nam mówić „dzień dobry”. Nie znoszę ich.

- Potraktujmy dzisiejszy podwieczorek jak chrzest. Jest taki piękny, pogodny wieczór - zacznijmy od nowa.

- Co od nowa?

- Naszą rodzinę.

Pani Anastazja była teraz kwintesencją wiary, nadziei i miłości. Witold - przeciwnie - napełnił się zwątpieniem, nihilizmem i złością. Starcie tych dwóch tak obcych sobie postaw poskutkowało wybuchem salwy szyderczego śmiechu, który wydobył się z piersi młodego przodownika. Na jego dźwięk „Lukrecja z głową w bzach” zakrzuszyła się dopijaną właśnie esencją herbaty. Witold śmiał się diabelsko, donośnie i przenikliwie. Wdzierał się uszami do przepętnionych lękiem dusz spadkobierców rodzinnej tradycji wspólnych lipcowych podwieczorków. W salonie znów pojawiły się nagle rozhasane owczarki. Wtórowały panu śmiechem trzepocących ogonów.

- A zatem chcielibyście zacząć od nowa? - cedził przez szeroko rozwarłe usta Witold. - Zresetować, zapomnieć, przedzić przeszłość przez durszlak waszego wyrobu? Myślicie, że grzechy i bezceństwa da się w ten sposób wypluć przez otwory jak brud w stajni Augiasza? Liczycie na to, że sprytem Herkulesa uda się wam wyprodukować porządek stanowiący nowy fundament? Cóż za bestroska brawura!

- Dlaczego mówisz o grzechach w liczbie mnogiej? - zaprotestował dziadek Stanisław. - Przecież rozliczałeś tylko mnie. Nie nasyciłeś się? Zostaw resztę rodziny w spokoju!

- Skoro temat sam się dziś wywołał od tablicy, miejmy odwagę go kontynuować. Całe miasto od dawna pokątnie mówi o tym, że ciotka Lukrecja nabyła ten dom drogą błyskawiczną i bezkredytową, co w tamtych czasach było iluzją na miarę naszej dzisiejszej zgody. Śpimy na kłakach ruskiego oficera wywiadu. To one duszą was czasem w gardle podczas niespokojnej drzemki.

- Odwal się! - zaprotestowała stanowczo oskarżona o międzynarodowy nierząd ciotka. - A niby gdzie miałam mieszkać, kiedy wszystko skonfiskowali? Wracając do żony, nie mógł zabrać tego domu ze sobą, więc dał go mnie.

- Nie była to bezinteresowna darowizna.
- A jednak opłaciła się nam obojgu.
- To cud, że ciotka jeszcze mówi po polsku. W każdym kącie czuć tu Ruska! Jego swądu nie wybawi jaśminowy napar.

Ciotka Lukrecja pokornie spuściła głowę. Przespać się z Ruskiem to nie był wstyd, wstydem było to, że o owym niechlubnym fakcie dowiedziało się „całe miasto”.

- Tak, tak, droga Anastazjo, patrzysz na mnie tym swoim niewinnym spojrzeniem anielicy, które pragnie mi powiedzieć: „Na mnie nic nie znajdziesz!”. Przykro mi, ale w istnienie aniołów przestałem wierzyć mniej więcej w tym samym czasie, co w niezachwianą dobroć naszego Boga.

- Oszczędź...
- Pamiętasz rok 1981?
- Najlepiej ze wszystkich. To wtedy urodziła się nasza Kryśka.

- A pamiętasz, co zrobiłaś, żeby urodzić ją w specjalnej sali szpitala, dostępnej jedynie żonom ówczesnych szpicliów?

- Chciałam zapewnić jej bezpieczny poród. Była źle ułożona.

- I uznałaś, że „cel uświęca środki”. W te pędy pognąłeś na najbliższy posterunek milicji i doniostaś, że nasz sąsiad, uczynny i bogobojny pan Mirek, po mszy „jątrzy” wśród parafian. Podczas gdy on tylko uczył ich niewypaczonego patriotyzmu.

- Ale nie zamknęli go.
- Bo nie zdążyli! Padł na zawal zanim zapukali do drzwi.

- Najwyraźniej nie miał czystego sumienia.
- Nie tobie to było osądzać.
- Odpokutowałam już tamte czasy.
- Nie oddało mu to życia. Jesteś Mirkobójczynią.

Pani Anastazja udała, że nie dosłyszała ostatnich słów. Dokroiła ciasta i trzęsącą się dłonią próbowała ułożyć drożdżowe kawałki na talerzu, ale spadały z niego. Po chwili cała stała się kompulsywnym ruchem. W końcu usadowiła się w fotelu i jakimś nadludzkim wysiłkiem woli powstrzymała oczy przed zalaniem się łzami.

- A co powiesz o sobie, wzorze cnót i stróżu prawości? - zapytał butnie dziadek Stanisław. - Zanim skierujesz działą na kolejnego członka rodziny, przyłóż jego wypolerowaną łufę do swojego oblicza.

- Niewiele, poza tym, że jestem produktem waszego wychowania, który nienawidzi zarówno siebie, jak i tych, którzy go na swoje podobieństwo stworzyli. Jestem potencjalnym złem.

- I nie ma nic, co mógłbyś sobie zarzucić, poza tym, że jesteś jednym z nas?

- To nie zarzut. To smutny determinizm, który każe mi wierzyć, że jestem przeklęty.

- Wyznaj swoją winę!

- A co, jeśli jeszcze nie zdążyłem się nią splamić?

- To jako jedyny nie będziesz potrzebował rozgrzeszenia - rozległo się nagle nad głowami podpojonych winem i aromatem bzu epigonów rodu.

Kryśka podniosła się z krzesła dość gwałtownie, podarawszy upust swoim tłumionym dotąd emocjom. Spozrzegli, że wygląda niezdrowo, ale nikomu nie przyszło do głowy zapytać o przyczynę tak głębokiej melancholii. Kryśka była, ale jakby jej nie było. Właściwie jej niedyspozycja nie była czymś nowym, towarzyszyła dziewczynie jakby od urodzenia. Kryśki nie pytało się o zdanie w sprawach rodzinnych, o stosunek do świata czy polityki. Kryśka nie miała poglądów, a przynajmniej nigdy ich nie wygłosiła. Była przezroczysta. Istnienie Kryśki traktowano jako nadprogramową produkcję

rodu Bogusławskich. Siedziała z nimi przy jednym stole, ale miejsce to wydawało się być pustym.

A jednak poczuli teraz jej zaznaczoną dziarskim odsunięciem krzesła nieobecność. Zdmuchnęła grzywkę z wysokiego czoła, poprawiła krzywo zwisającą między piersiami zawieszkę i przeszła ich budzącym grozę spojrzeniem. Ze zdziwieniem zauważyli, że zamiast złotego krzyżyka, który zwykła nosić od czasu przyjęcia pierwszej komunii, na łańcuszku dyndał jakiś dziwny symbol nie wiadomo czego. Spod podwijanych właśnie rękawów spłynął na nich blask równie dziwnych znaków wytatuowanych wzdłuż linii kości promieniowej. Wyprostowali się jak struny. Tamtą Kryśkę znali tyleż, co nic, ale ta zaczęła ich naprawdę przerażać. Było w niej coś demonicznego i fanatycznego zarazem. Modlili się w duchu o to, by znów wbiła się swoim wybujałym cielskiem w krzesło i stała się statycznym bezmyślnym ciałem. Niestety, ciało Kryśki postanowiło stać się słowem.

- Oto nastał kres wynaturzonego tworu zwanego rodziną Bogusławskich - zaczęła tonem stanowczym, ale opanowanym. - Jeśli kiedykolwiek stawiła ona czyjeś imię, to szatana. Hołdowaliście mu zakłamywaniem rzeczywistości, usprawiedliwianiem i relatywizowaniem wszystkich swoich występków. Nauczyciście się od niego szukania winy w systemie, nigdy w sobie. Obrzuciliście błotem historię, narody i pojedyncze osoby. Jakże to podłe, polskie i bogusławskie zarazem! Uszy wzięły od słuchania odgłosów osobliwie przez was pojmowanej rodzinności. Dziwiłam się, że Bóg nie reagował, nie grzmiał. Przez cały czas bawicie się w dzielnych rycerzy i charyzmatycznych strategów, siedząc za stołem i popijając herbatkę. Różnicie się między sobą dla zasady, pokoleniowo, nie dla prawdy. Musicie mieć przecież powód, żeby się nienawidzić. Wasza odpowiedzialność za siebie i rodzinę sprowadza się do urządzania codziennych schadzek przy przesiąkniętych smrodem waszych prawdziwych myśli flakonach bzu. Siedzicie jak w zbiorowej więziennej celi, opluwając się wzajemnie jadem, który robi za lukier na drożdżówce. Lubicie to. Rozsmakowaliście się w werbalnej trutce. Przekazujecie sobie ten wirus nienawiści wraz z podawanym dalej imbrykiem. Jest to jedyny przejaw zgodności w tej rodzinie. W gruncie rzeczy nienawidzicie tak samo, choć każdy z osobna. Wyszpecjalizowaliście się w nienawiści, tej demonstrowanej i ukrytej w sercach. Ale nawet ona ma swoje granice. Są tak wąskie, jak granice Polski, rzekomej narodowej wielkości czy waszej rodowej wyjątkowości. Dziś nadszedł koniec rządów Rycerzy Tego Kanciastego Stołu. Dacie początek nowej Europie.

- A to co, Sąd Ostateczny? - zapytał wzburzony Witold, któremu niespodziewany zryw Dotąd-Milczącej zaburzył płynność własnego wystąpienia.

- Nie do końca, - odsyczała z jadowitością żmii Kryśka - bo zadaniem Gniewnego Sędziego jest oddzielenie ludzi dobrych od złych, a w naszej rodzinie każdy jest z natury zły. Jesteśmy więc już po ostatecznym kataklizmie. Teraz musimy jeszcze oddzielić złoto od złota, żeby rozpadło się na czynniki pierwsze. Niewidzialne i zbyt słabe, zrodzi dobro.

- O czym ty mówisz, dziewczę? - zapytał skonfudowany dziadek Stanisław.

- Dziadek udaje, że mu słuch szwankuje. Niech zatem skupi się bardziej. Wy wszyscy tutaj... jesteście złem. Udowodniliście to co najmniej raz w swoim życiu, a teraz próbujecie własne gówno ubrać w migoczące sreberko przedawnienia. Jesteście gotowi nawet je zjeść, połknąć, żeby przestało istnieć. Ale gówno tak łatwo nie ulega rozkładowi, ono śmierdzi z każdym dniem bardziej! Myślicie, że was uwielbiają, podziwiają i szanują, a nawet - nie daj, Boże! - naśladują? Oni wiedzą! Wszystko o wszystkich! I śmieją się z waszej samozwańczej świętości. Herbem tego rodu jest szatan z

trójzębem! Jesteście iluzją, a od niej wybawić może jedynie prawda.

- A cóż nią, w twoim pojęciu, jest? - zapytał Witold.

- Śmierć - odpowiedziała z zimną krwią. - Wraz ze śmiercią, która kończy byt, a zatem możliwość tworzenia waszych urojonych idei, wyzbędziecie się iluzji. To jedyna szansa dla tej rodziny. I Europy.

- Co ty sugerujesz? - wzdrygnęła się pani Anastazja. - Chcesz nas zabić?

- Chcę was ocalić. Spowiedź i rachunek sumienia macie już za sobą. Wygląda na to, że będziecie umierać czysti i znów niewinni. To dobrze, bo śmierć powinna być czymś innym niż życie.

- Umierać? Czy ty aby nie majaczysz w gorączce?

- Po raz pierwszy w życiu czuję, że powietrze, którym oddycham, jest zdrowe. Potraktujcie ten podwieczorek jako ostatnie pożegnanie. Zbliża się godzina uwolnienia świata od rodziny Bogusławskich. Znalazłam dla was misję! Wasze odejście da początek odrodzeniu Europy w duchu nowych wartości. Przejdźcie do historii jako pierwsza ofiara złożona na ołtarzu systemowej transformacji. A nowa Europa znów będzie najlepszym miejscem do życia. Zamiast pędzącej nie wiadomo dokąd stechnicyzowanej gospodarki jej centrum stanowić będzie spokojny humanizm. Koniec walki między robotem a lotosem! Podwieczorki przy jaśminowej herbacie nigdy już nie będą polityczną agorą. Ludzie w końcu usłyszą śpiew ptaków. Przesną domagać się coraz większej swobody wypowiedzi, ale zaczną odczuwać odpowiedzialność za tę, którą już mają. Obywatelskość zostanie na zawsze połączona z moralnością. Na szczycie piramidy wartości każdego nowego Europejczyka znajdą się wartości ogólnoludzkie. I nie będzie podziału na „mieć” i „być” - wszyscy zgodnie pokochają pokój, tolerancję, sprawiedliwość społeczną oraz życie rodzinne. Nimi wypełnią materialne i duchowe przestrzenie. Bo bycie współczesnym obywatelem Europy nie jest związane z religią, jak próbowaliście wpoić sobie i mnie, ale z przywiązaniem do poszanowania prawa i społecznej umowy. Na pohybel krzykaczom, podjudzczacom i buntownikom! To egoiści, których jedynym celem jest zwrócenie na siebie uwagi!

Kryśka ścisnęła dłonią wiszącą zawieszkę. Dopiero teraz dostrzegli, że w centrum tej wielowarstwowej mozaiki widnieje półksiężyc. Zrozumieli.

- Za dwadzieścia minut pozostanie po was jedynie pamięć, a i ona ulotni się szybciej niż myślicie. Wróćcie tam, skąd przyszlście: do jądra nicości. Siedzicie na bombie, którą sobie sami skonstruowaliście. Pochłonięci awanturnicznymi wywodami, zagłuszyliście jej tykanie.

- O Boże, ona wysadzi nas w powietrze! - krzyknęła ciotka Lukrecja.

- Dziecko, ty na poważnie? - lamentowała pani Anastazja.

- Smarkula żarty sobie stroi i próbuje nas sterroryzować! Opamiętajcie się! - wrzasnął Witold.

- Wy nigdy się nie opamiętacie. Na tym polega problem. Wy potraficie tylko rozpamiętywać. I rozliczać. A gdy siła wyższa postanowiła rozliczyć was, drżycie ze strachu.

- Ty jesteś opętana! Ty nie myślisz racjonalnie! - przekonywała samą siebie Lukrecja. - Ciebie kupili islamiści.

- Nie kupili, dostali mnie za darmo i z własnej nieprzymuszonej woli.

- Przecież wychowywaliśmy cię podręcznikowo, wedle najlepszych tradycji...

„Wszystko marność i twoje życie to marność i ty jesteś marność” oraz zgodnie z polskim obyczajem urywania głowy tym, którzy myślą inaczej. Wpiliście mi narodowe stereotypy, obywatelskie lęki i zbiorowe nihilizmy. Nigdy nie rozmawialiście przy herbacie o pięknym wschodzie słońca czy

kwitnącej gruszy. Uczyliście mnie gromadzić, a nie kontemplować. Zresztą, w ogóle na mnie nie patrzyliście, bo ważniejszy był widok snujących się po podwórzu sąsiadów. A potem szepotaliście do siebie, że to ze mną nie jest w zupełnym porządku. Ja po prostu nie przeszkadzałam wam być sobą. Witek próbował was zmienić, ale im mocniej się starał, tym bardziej powielał to, co go drażniło. Nawet nie wiecie, kiedy dorostam i zmieniam wiarę.

- Na Boga, ale dlaczego islam - ta gradowa chmura wisząca nad Europą?

- Bo pod jej skrzydłami można ogrzać się ciepłem, troską drugiego człowieka i autentycznym dobrem. Bo jest jedyną religią, która trzyma się swoich tradycji, bastionem, który umiejętnie łączy to, co transcendentne i codzienne. Wy z pogardą spoglądacie na swoje korzenie, wstydzicie się sacrum. Uważacie się za mądrzejszych od przeszłości, choć nadal was ona tworzy. Pytacie, dlaczego islam? Bo w zetknięciu z nim przypadkiem zdemaskowałam wasze fałszywe chrześcijaństwo oparte na jednoczesnym słuźeniu zarówno Bogu, jak i mamonie. Dlaczego islam? Bo to on podarował mi prawdziwą rodzinę. Taką, w której wartości są stałe i niezachwiane, a hipokrytów oddala się od wspólnoty. Rodzinę, w której życie codzienne, religia, prawo i polityka stanowią jedność opartą na tym samym fundamencie. Jeśli moja nowa wiara wymaga ode mnie bezwzględności posłuszeństwa, to przynajmniej daje mi coś w zamian - jednoznaczność wizję świata. Na co mi systemowa czy jednostkowa wolność, skoro w waszym świecie jestem bezustannie skazana na wybieranie między pozorami? Ja już nawet nie wiem, kto w tej rodzinie przypomina jeszcze człowieka z krwi i kości. Zanimalizowaliście się, przeistoczywszy się w stado. Zawodowi politycy wszystkich opcji bawią się erystycznymi sztuczkami, by przejąć władzę nad owcami takimi jak wy. Łykacie ich wyświechtane frazesy niczym jakieś prawdy objawione, a prawdziwa prawda i tak jest gdzieś indziej. Z lubością babrzecie się w tym, co was dzieli. Kłóćcie się przy stole, tym oraz wigilijnym, na spacerze, przy porannym przeglądzie prasy, w taksówce i w galerii handlowej. W tej rodzinie wszystko jest polityką. Czyli kłamstwem. Próbujecie podzielić rzeczywistość na czarną i białą, a gdy odkrywacie, że waszym czynom bliżej do szarości, panicznie się wybielacie, jednocześnie zatapiając innych w kotle sphywającym smołą. I ten wasz nieuzasadniony ekskluzywizm szlachecki... Myślicie, że stanowicie „naród wybrany”? A ja powiem wam, że niczym nie różnicie się od Kowalskich, Nowaków i innych przedstawicieli śmiertelnego społeczeństwa. Może tylko tym, że trudno wam pojąć, iż nic od was nie zależy. Na cóż mi pseudochrześcijańska rodzina, której członkowie skaczą sobie do gardeł tylko dlatego, że korzystają z prawa do wolności myślenia? Nie umiecie się nawet cywilizowanie różnić! Nie podoba wam się islam? Popatrzcie na siebie! Rozsiewacie anarchię, przekazując sobie każdej niedzieli znak pokoju. Terroryzujecie się nawzajem, wystrzeliwując obelgi jak z karabinu. Jesteście ideologicznymi ekstremistami i fanatykami, choć już nawet nie wiecie, o jakie prawdy walczyacie! Konkurujecie ze sobą, zamiast się uzupełniać. Nie ma między wami szczerości, dobra, partnerstwa i kooperacji.

- I ty postanowiłaś nas ich nauczyć? - znów zagrmiał Witold, który od małego wychowywany był w lęku przed nalotem Arabów.

- W przeciwieństwie do ciebie, nikogo nie zamierzam pouczać ani siłą nawracać - odpowiedziała mu z opanowaniem modlącego się Mahometa. - Postanowiłam uzasadnić waszą śmierć. Nie chcę, żebyście mieli poczucie krzywdy i niezgody.

- Ona znowu o tym... - piskliwym głosem zwróciła się do dziadka pani Anastazja.



- Wy nadal nie wierzycie, że koniec nadchodzi? Zostało dziesięć minut.

- Egzorcyzmy, dziecko, tego teraz potrzebujesz.

- Doznaję właśnie cudownego oczyszczenia.

- Pewnie poznałaś jakiegoś Araba i się po prostu w nim zakochałaś. Powiedz, pomożemy ci przez to przejść. Nie ty pierwsza uległaś czarowi ich skłonemu do miłosnych uniesień usposobieniu.

- Owszem, po raz pierwszy ktoś obdarzył mnie prawdziwą miłością, uniwersalną i silniejszą niż życie. Dlatego pozwolił mi umrzeć wraz z wami.

- Księżda! - wrzasnął dziadek Stanisław.

- Da dziadek spokój - uspokajał go Witold. - Czy nie widzicie, że dziewczyna prowokuje? Przez całe swoje życie siedziała przy tym stole milcząca i nieobecna duchem. W końcu postanowiła zwrócić na siebie uwagę. Metodę wybrała tandetną, ale osiągnęła cel.

- Poprzez milczenie odkrywałam was. I siebie. Nieme uczestnictwo w życiu rodzinnym bywa najważniejszym głosem w dyskusji. To ja dziś stawiam w niej kropkę nad „i”. Osiem minut.

- Więc porozmawiajmy, na spokojnie. Usiądź, dorobię herbaty - pani Anastazja za wszelką cenę próbowała ugłaskać rozwścieczoną Kryskę z półksiężycem pod szyją.

- Ja już wszystko powiedziałam.

- Ale my się pogubiliśmy.

- Zatem powtórzę raz jeszcze, choć szkoda marnować na to czas, gdyż nie zdążymy się pożegnać. Oto nastął ostatni nasz wspólny podwieczorek. Po nim nastąpi dematerializacja rodziny Bogusławskich; rodziny, która nie jest rodziną i dlatego nie może dalej istnieć, bo przeszkadza Europie rozwijać się. Bogusławskich jest więcej, ale my musimy zniknąć pierwszy, bo jesteśmy złymi Polakami. Nasza śmierć będzie wybawieniem: Europy od zła, nas od samych siebie. Innowiercy przychodzą nam na ratunek, nie z inwazją. Zaraz nastąpi wielki wybuch. Zginę i ja, ponieważ jestem jedną z Bogusławskich. Trzy minuty. Czy jest coś, co każdy z was chciałby powiedzieć innym w ostatniej minucie swojego życia?

Pachnący lipcowym powietrzem, bzem i jaśminową esencją salon spowiła najgłębsza cisza. Z niej wyłoniło się tykanie zegara, które wcześniej skutecznie zagłuszyli rytuałem podwieczorka. Śnieżnobiała firanka frywolnie obwiewała drewniane ramy okna. Z sąsiedniego domku zaczęły dobiegać dźwięki skocznej piosenki, nieznacznie tylko zagłuszanej szczekaniem bawiących się w chowanego psów. Do wnętrza monumentalnego domostwa wdarta się nabzdyczona osa. Namaściła

skrzydłami każdą z zastygłych głów. Kryśka siedziała spokojna, uśmiechnięta i spełniona. Zrozumieli, że nie żartuje.

- Krwią moją tylko podlejesz wybitną dziejową rolę Polski w świecie - odezwał się dziadek Stanisław. - Jeszcze Polska nie umarła! Nawet jeśli my pomrzemy! Amen.

- Panie Boże, zmiłuj się nad nami! - wykrzyknęła w stronę niebios pani Anastazja.

- To ja jestem tą poszukiwaną przez ochroniarzy hieną cmentarną! - rozplakała się ciotka Lukrecja. - Nie lubiłam, gdy groby innych wyglądały ładniej niż grób mojej matki. Wstydzę się tego, co czyniłam. Niech twój anioł, o Panie, przeniesie na mój grób chabry od Kuńskiej.

- Nie każ mi iść z nimi na drugą stronę! - błagał Witold. - Holly shit!

- Minuta.

- Kto zaopiekuje się psami? - wyrwało się pani Anastazji. - Pobiegly na drugą stronę ulicy. Taki rodzaj, a trafią pewnie w jakieś robotnicze ręce!

- Cholera, ten luj Dawidek pożyczyl ode mnie stowę - przypomniało się Witoldowi.

- Co z ciebie za Bóg, skoro dajesz się pokonać bogowi tamtych? - grzmiał pod niebiosa dziadek. - Gdzie jest sprawiedliwość?

- Tam, gdzie prawo, dziaduniu, w czarnej dupie!

- Prześladujesz mnie do końca...

- Do ostatniej sekundy!

- Dziesięć sekund.

- A ty co powiesz, Kryśka? Umiemy liczyć.

- Nie wracajcie na ziemię pod żadną postacią. Nie psujcie ofiary.

- Dlaczego musimy umrzeć?

- Bo nie potrafimy już żyć.

Po chwili salon Bogusławskich wypełnił się wielkim wybuchem, w którego przyjęcie do końca nie wierzyli. Eksploдовали wszyscy, równocześnie i bezpowrotnie. Dopiero w chwili śmierci dosięgnął ich ziemski egalitaryzm, choć byli przecież równoprawnymi członkami tego samego rodu. Tak samo sprawnie rozpadli się na niewidzialne kawałki swaru, jazgotu i buty. I gdyby nie to, że czekała na nich tylko nicość, z pewnością przekuliby moment destrukcji na zaczyn nowego konfliktu. Mierziła ich wszelka wspólnotowość, a zwłaszcza ta, którą próbował narzucić im odgórnie los. Byli wściekli na Kryskę, ale nie miało to już żadnego znaczenia. Gdy znów nastała cisza, zamknięta dotąd w ozdobnych ścianach secesyjnego domu przestrzeń otworzyła się na nowe. Ziemia oddychała spopielalym bzem i przesywającym nozdrza jaśminem. Ona jedna przetrwała, powróciwszy do swoich korzeni - polskości, europejskości i rodowego miru. Dzięki Kryśce znów była wolna.

Agata Marzec, Słupsk

Opowiadanie otrzymało wyróżnienie w Międzynarodowym Konkursie Literackim im. Siegfrieda Lenza zorganizowanym przez Prezydenta Miasta Ełku Tomasza Andrukiewicza, Fundację Siegfrieda Lenza oraz Miejską Bibliotekę Publiczną im. Zofii Nasierowskiej w Ełku. W konkursie udział wzięło kilkaset osób z kraju oraz z zagranicy, a jego tematem było napisanie utworu wpisującego się w hasło „Oblicza Europy”. Tekst miał uwzględniać kwestie „Małej Ojczyzny” (związane z dialogiem międzykulturowym o charakterze społeczno-kulturowym, środowiskowym, ekonomicznym oraz tożsamością mieszkańców danego regionu). Autorka na co dzień jest nauczycielką języka polskiego i bibliotekarką w Zespole Szkół Ekonomicznych i Technicznych w Słupsku oraz instruktorką fitness w jednym ze słupskich klubów. (Z)